

JULJAN TUWIM

CZYHANIE
NA
BOGA

IGNIS

CZYHANIE NA BOGA



TEGOŻ AUTORA:

SOKRATES TAŃCZĄCY, poezje.

SIÓDMA JESIEŃ, poezje.

BALMONT I BRIUSOW, przekłady z liryki rosyjskiej.

W PRZYGOTOWANIU:

POEZJI TOM CZWARTY.

SKRZYDLATY ZŁOCZYŃCA, powieść.

CZARY I CZARTY POLSKIE, wypisy czernoksięskie.

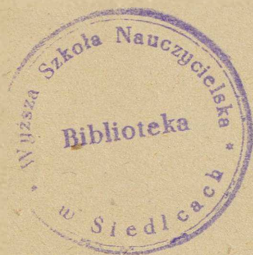
SKŁADY GŁÓWNE:—Lwów: H. Altenberg
Łódź: Ludwik Fiszer—Poznań: Fiszer i Majewski
Wilno: Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego
Kraków: S. A. Krzyżanowski

JULJAN TUWIM

*CZYHANIE
NA BOGA*

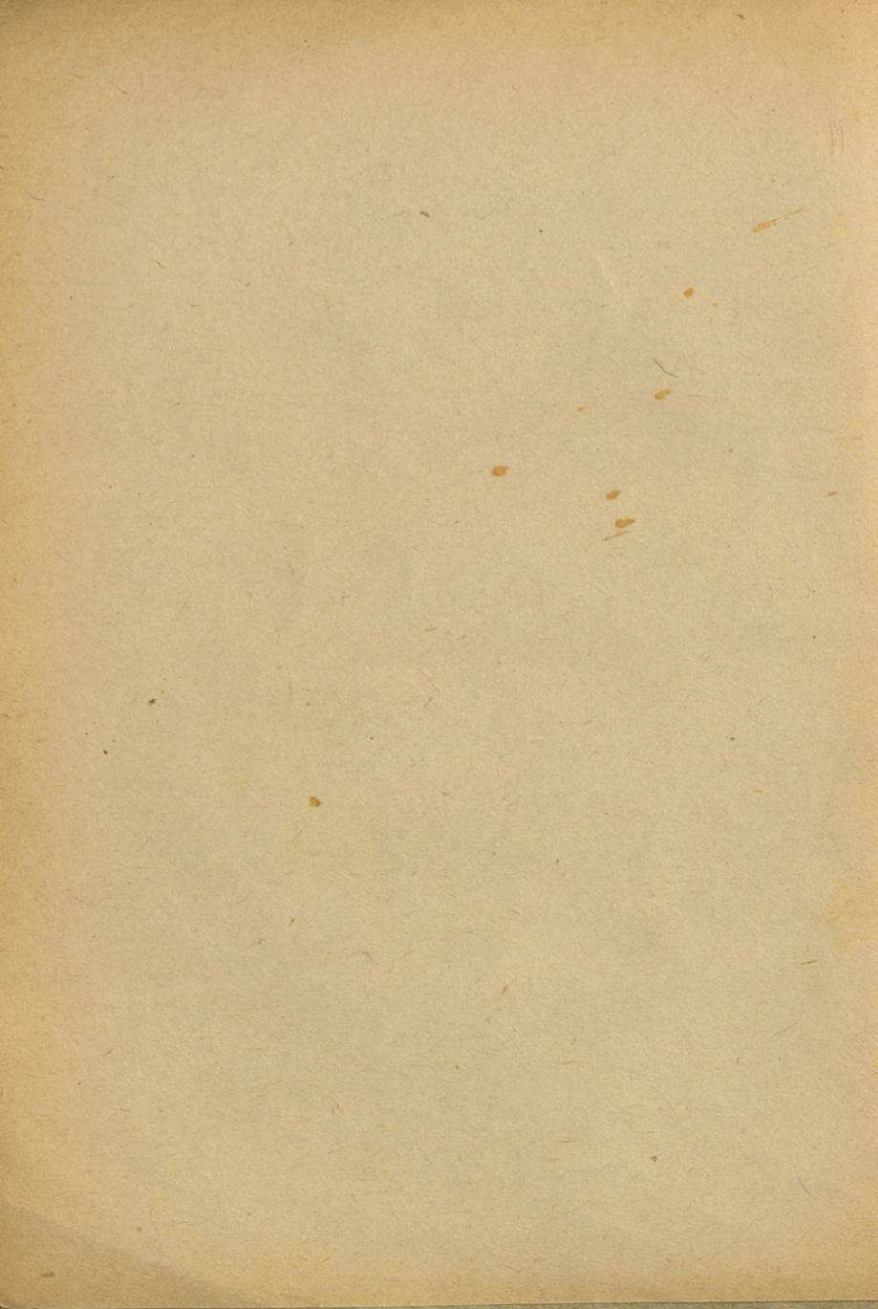
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”
TORUŃ WARSZAWA SIEDLCE

Okładkę rysował Tadeusz Gronowski. Odbito
2.200 egz. na papierze zwykłym oraz
10 egz. na papierze czerpanym
w drukarni Jana Buriana
w Warszawie
1922 r.



50369

RODZICOM



Teofanja

Idziesz! Przeczuwam Ciebie! Jak daleka łuna,
Czerwieni się olbrzymia moc błyskawicowa!
Widzę cię, święta moja wizjo złotostruna!
Widzę cię — świtasz — idziesz, o Poezjo Nowa!

Choć nie dostrzegłem jeszcze twojego oblicza,
Z którego Bogiem tryśnie wieków treść ukryta,
Wiem, że będziesz szalona! będziesz tajemnicza,
O Duszo, która idziesz, w której przyszłość świta!

A będzie ci na imię groźnie, twórczo: „Jestem“!
Obejmiesz sobą wszystko, tyrańska, potworna!
I objawisz się światu — Ognia Manifestem:
— Przyszłam po sny szaleńców, ksieni niepokorna!

Dusza

„Apokalipsowego nosim w sobie zwierza“

SŁOWACKI

Objawia się. I nagłym, ukrytym odruchem
Przypomina o sobie. Zahuczy, jak burza!
Chłóśnie w twarz straszną prawdą—lub świetlistym
[duchem
Przepaja mnie: i zwodzi, mam i odurza...

Lub targnie się — i ostrym mnie kantem ubodzie
W najczulszy nerw — i wstrząśnie całą mą istotą!
Albo przychodzi do mnie, gdy jestem w ogrodzie,
Sycąc dalekim wzrokiem zachodowe złoto.

A jest wszędzie; i w bogach zapomnianych czasów
I w mglistych napomknieniach o czemś, co być
[może,
I w gęstwie niewidomej dumnych, starych lasów,
I w widmach, co rzucają gwiazdne łkania w morze.

I w tych, co umierają w słoneczne południe,
I w tych, co przeklinają, w tych, co błogosławią,
W tych, co Chrystusów zwodzą, całując obłudnie,
I w tych, co się w rozpuście pod krzyżami pławiają.

Wszędzie jest! Dręczy, cieszy, marę zwątpień ciska,
Zachodzi z tyłu skrycie, w proch rzuca, uśmierza,
Ukaja i przeraża, w wszechświatości błyska!
— Apokaliptowego nosim w sobie zwierza.

Ogień

Bądź mi, o życie twórcze, bryłą wielościenną,
Nieubłaganie, zimno w sobie symetryczną,
Byś twarde, czyste było swą treścią niezmienną
I pełne w formie swojej harmonją mistyczną.

I bądź mi djamentowe. A gdy boskie słońce
Przeszyje cię pieszczotą złotego promienia,
Oślepiąco zalśnij, błyskami drgające,
Miljonem blasków zagraj, roziskrzyj się w lśnieniu!

Bo wiedz, o twórcze życie, o dziwny djamencie,
Święty w czyn harmonijny swą mądrością czystą,
Że cię ocean dźwigał w rozgwiezdnym odmęcie,
A złowiłem cię — z szramą na czole ognistą.

Patos Dali

O, rzucie mój! O, oddalenie w nieskończoność!
— Cisnę źrenice w najdalsze przestrzenie,
W jakieś zupełne, twórcze oderwanie — — —
(O, muzyko, muzyko dali złocistej!...)

Słoneczna gra przybliżeń i oddaleń...
Rozpłynąć się tak — hen... hen...
Falistą linią rytmów płynąć, płynąć bez końca...
(Strzeliła złota droga. Prosta. Równa.
Strzeliła sobą w dali O, odległości
[niezmierzona!])

Płynąć... płynąć... i poczuć Patos Bezmiaru,
Patos ciśniętej w bezkres perspektywy!!...
(O, muzyko, muzyko dali drżącej, złocistej!...)

Modlitwa

Modlę się, Panie, ale się nie korzę:
Twarde są słowa modlitwą zrodzone.
Daj mi wytrwania i sił wiele, Boże,
W życiu, co będzie twórcze i szalone.

Daj mi, o Panie, poczynań płomiennosc
I nieugiętą daj ku Sobie wolę.
Niech życie moje zwie się: wieczna zmienność
W wiecznej jedności na duszy cokole.

Ale pamiętaj: gdy padnę, nieszczęście
Moje olbrzymie w twarz cisnę Ci, Boże!
Wiedz: w górę wzniosę dwie żelazne pięście,
Oczy spłomienię, spojrzę i — zagrozę!

Miłość

Jak tęcza — — jak tęcza — — półkregiem wielkim,
aureolą, nademną, szczęście moje jasne, szczęście moje
światłe, radość moja głęboka, mądrość moja, ostatnie
piętro wieży, szczyt mój słonecznohławy: Miłość.

Jak tęcza — — jak tęcza — łuk olbrzymi — spięcie.
Oczy wzniesione w górę. Ręce splecione modlitewnie.
Usta szepcące. Szepcące słowa o Przyjściu, o Zmar-
twychwstaniu, o Ogniu, o lśniącej rozpalonej Białości.
Szepcące słowa męki: niewypowiedzeń, bezedna, bez-
kresu modlitwy.

I pełen jestem duszy twojej.

Wierzę, wierzę, wierzę w Boga. I w ciebie wierzę.

Jak tęcza — jak tęcza — pręży się siedmiobarwny
łuk, archaniołowe cuda: Miłość moja.

Duszę mą światło zalało, duszę mą słodycz zalała.
Patrzę na mnie twe oczy, twe oczy jak kwiaty boże,
twe oczy tchnące wiosną. I pełen jestem duszy twojej.

Patrzę, patrzę, a potem przymykam oczy, złocą mi
się pola nieba, modrość jasna, słodycz mą duszę za-
lewa, rozplywam się w jasności, w ciepłe odwiecz-
nem, w tęczy...

I jestem Myślą, bezcielesną żądzą, stopieniem
siebie z niebiańską światłością... Szczęście moje!
Szczęście moje!

I pełen jestem duszy twojej. Ja — jeden. Ja —
jedyny. Cały. Niepodzielny — we wszystkim.

Milczę. Ręce wyciągam. Boskość we mnie wstę-
puje. Czuję ją, czuję, przez oczy moje wchodzi, serce
mi Bogiem wypełnia: miłością moją.

W światłości płynę. Wierzę.

Duma

Rozrosła się wspaniale wola mej twórczości.
Jest mi, jak glina palcom artysty, uległa,
Choć mocna, choć potężna, choć jak granit legła
W mej duszy, obcej żalom hamletycznej czczości.

Uznałem życie wszędzie. A w sobie znałem,
Że jeszcze kiedyś wszystko, com posiadał, odrzucę...
Pójdę — ogromnym smutkiem może się rozsmucę,
A może się i szczęściem zachłysnę wspaniałem.

Szczycę się — bom sam pojął swą niedoskonałość
Nawet w woli twórczości, co w mą duszę wrasta.
Dumny jestem — bo widzę w dali Złote Miasta,
Nie idąc w nie. Bo wiem, że znajdę
SKAMIENIAŁOŚĆ.



Mędrkom

W wiecznej rozmowie z duszą pędząc ciche życie,
Wiem, jaki los mnie czeka i jaka ma droga:
Krzyczeć wam rozpaczliwie, że wszystko jest z Boga,
Choć i tak moim prostym słowom nie wierzycie.

Na targowiskach gwarnych słowa me ważycie,
Pobłażliwie je ceniąc... Lecz żadnego trwoga
Nie chwyci, że się zbliży chwila sądu sroga,
Gdy wam się własne dusze otworzą w zachwycie.

Wiedziecie: noce są długie, a sen jest niepewny...
Może i w was piorunem uderzy Bóg gniewny
I gwałtem was zdobędzie, tłuszczo małowierni!

Śmierć!!! słyszycie? wierzycie?! Chyba jedna ona,
Choć przekleństwem witana, wreszcie was
[„przekona“!...
...A do mnie jako Siostra przyjdzie Miłosierna.

Przetrywam...

„Zmówiłem za nim pacierz
potężnym milczeniem“

NORWID

Przetrywam... Minęły lata i lata przemią,
Będzie tysiąc utraczeń i tysiąc zdobywań,
Będę tęsknił — godzina pójdzie za godziną
W tańcu żalów, nadziei, łez i oczekiwań.

Przetrywam... Lecz dzień nastanie, gdy wśród
[wielkiej głuszy
Coś ostatniego skona pod męki ogromem:
Wygaśnie Płomień Święty w umęczonej duszy,
A dom Twój już nie będzie dla mnie Bożym
[Domem.

I wtedy wielką ciszą żywot swój pocieszę,
I będzie cisza owa — Tobie przebaczeniem.
I winę Twoją straszną i grzech Twój rozgrzeszę,
Modląc się za Twą duszę ogromnem milczeniem.

Sztuka

Najgłębszą głębią ducha, gdzie majestat boży
Ukrył cel ostateczny: wielkie Zrozumienie,
Gdzie doczesność nie trafia, przeciwność nie
[trwoży,
A głębia sobą żyje, jak mądre milczenie, —

Najgłębszą głębią ducha zrozumiałem życie,
I już się myśli moje złęgo nie ulękną,
Nie pragnąc cnoty jawnie, ani grzechu skrycie,
I nie wiedząc, co znaczy brzydota i piękno.

Lecz jeżeli w mej duszy sen zakwita czysty,
Tęskniąc ku pięknu słońca, marmuru i kwiatów,
Doskonałości ładu — idei Artysty —
Ujmującej harmonją świat i świat zaświatów:

Wtedy się miłość moja na wszechświat rozplywa,
A piękno mistrzów — bożą staje się nauką,
I dusza w zachwyceniu natchnionem przyzywa
Ciebie, Dziewczyno moja, nieśmiertelna Sztuko!

Szczęście

Nieciekaw jestem świata,
Ogromnych pięknych miast:
Nie więcej one powiedzą,
Jak ten przydrożny chwast.

Nieciekaw jestem ludzi,
Co nauk zgłębili sto:
Wystarczy mi pierwszy lepszy,
Wystarczy mi byle kto.

I ksiąg nie jestem ciekaw,
— Możecie ze mnie drwić —
Wiem ja bez ksiąg nie mało
I wiem, co znaczy ŻYĆ.

Usiadłem sobie pod drzewem,
Spokojny jestem i sam — --
O, Boże! O, szczęście moje!
Jakże dziękować Ci mam?

Malarz

Na słońce, co mi w okno złotym snopem strzela,
W milionie pyłków, w smudze sącząc się z ukosa,
Wypuszczam, pełen twórczych szaleństw Rafaela,
Kłęby dymu, srebrzyste chmury z papierosa.
A na niebie błękitnem, niby kopce śniegu,
Sterczą białe obłoki, rzucając w przestworze
Sny o słońcach wędrownych, nie znających brzegu,
Co wiecznie zapadają w bujne, szumne morze!

Przymierze

Na głębie, duszo, na głębie
Srebrzyste wypuść gołębie
Z kwitnącą różdżką oliwną.

Gołębie skrzydła rozwiną,
Z radosną wrócą nowiną,
Przyfruną z wieścią przedziwną:

Że Bóg nam sady hoduje,
Bóg Jasny — Dom nam buduje,
I tańcząc kroki odmierza.

Słońce do Boga się śmieje,
A ponad Domem jaśnieje
Tęcza Naszego Przymierza.

Pieśń o radości i rytmie

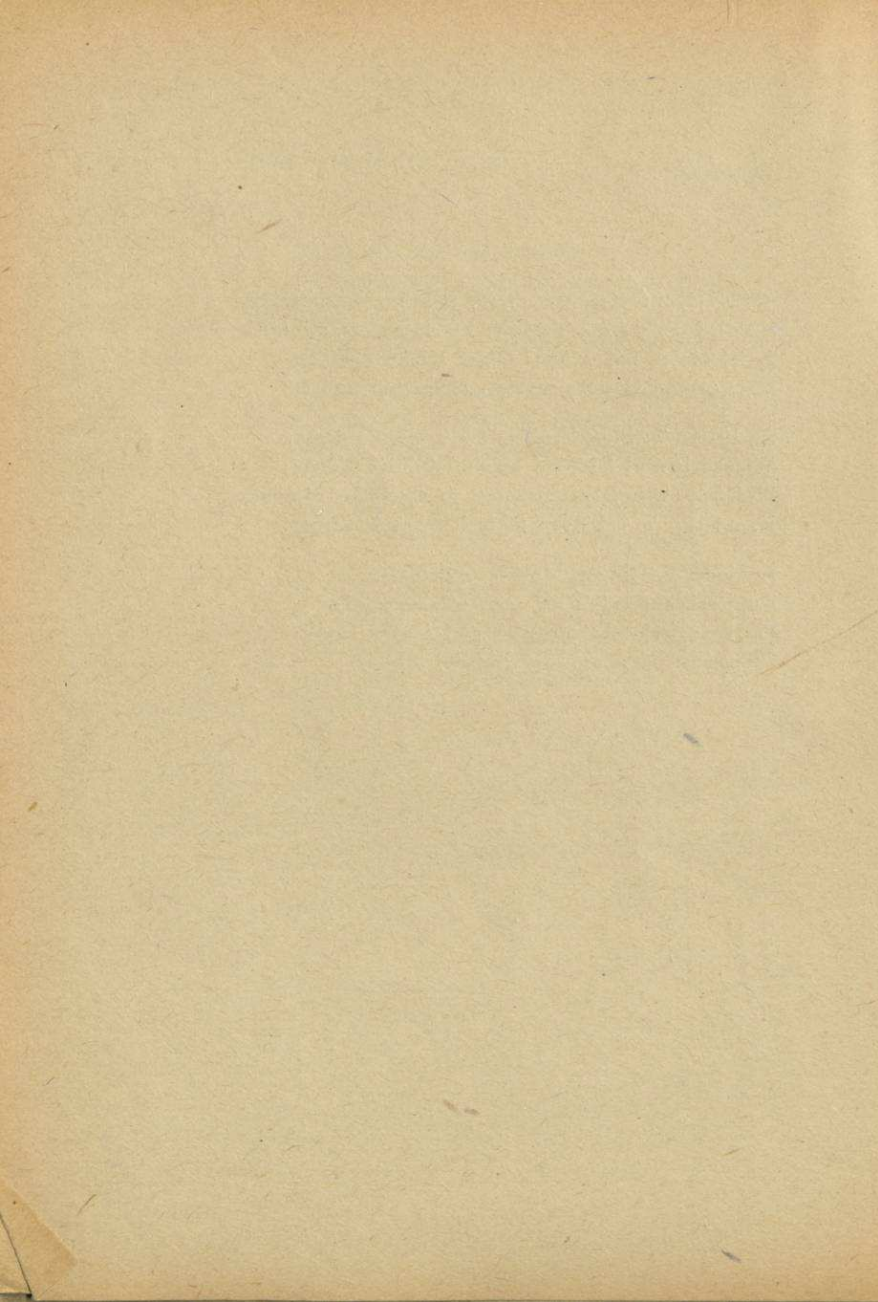
Na niebie gwiazdy zabłyśły.
W przestrzeni — miljardy wszechświatów.
CISZA.
Wspieram czoło na dłoni i MYŚLĘ.
Nie śnię.
Obudziła się we mnie wielka Rzeczywistość,
Prawda, co w oczy się rzuca,
Prawda będąca, widoczna, jedyna,
Wieczna:
Ja — pod tą gwieźdną olbrzymią kopułą,
Ja — który mózgiem jej całość ujmuję,
Przepajam się nią, stapiam się sam z sobą.
Powoli — w sobie — dochodzę do siebie:
Do wielkiej radości i wielkiego rytmu.
Wszystko, com myślał i mówił i czynił
Było jedynie owem dochodzeniem
Do wszech-ujęcia:
Gdy oto w sobie spoczywam radośnie,
Ciszą ogromną zewsząd otulony,
I gdy mi serce bije w rytm wszystkiego,
Co mnie otacza.
Dość. Słów nie potrzeba.

Spadek

Wtrącony w wieczność bytu, w kołowrót zagadek,
Przez dumną wolę Twórcy, który mnie wywołał,
Z tajemnicą bój wiodę: taki-ć wieków spadek,
Choć wiem, iż poto walczę, abym nie podołał.

Zmagam się, bluźnierczego boju spadkobierca,
Widząc bezcel i nicość swojej walki krwawej;
Walczę — w kres zapatrzony, co wszystko uśmierca,
Ja, ogniwo w łańcuchu jakiejś Świętej Sprawy.

A kiedy dni żywota do kresu dobiegną
I ujrzę, iżem kroku nie postąpił, — wtedy
Przekażę bój odwieczny innym, co też legną,
Omamieni ogromem przekazanej schedy.



II

Wiosna

Serce pęcznieje, nabrzmiwa,
Wesele musuje w ciele,
Można oszaleć z radości,
O moi przyjaciele!

Od stóp do głowy krąży
Potok niepowstrzymany!
Pomyślcie, co się to dzieje!
Jaki to pęd opętany!

Jak bardzo jest! jak wiele!
Jak żywo, zupełnie, cało!
— Chodź, Młoda do Młodego:
Ojcostwa mi się zachciało!

Czereśnie

Siostrze

Rwałem dziś rano czereśnie,
Ciemno-czerwone czereśnie,
W ogrodzie było ćwierkliwie,
Słonecznie, rośnie i wczesnie.

Gałęzie, jak opryskane
Dojrzałą wiśni jagodą,
Zwieszały się, omdlewając,
Nad stawu odniebną wodą.

Zwieszały się, omdlewając,
I myślą tonęły w stawie,
A plamki słońca migały
Na lśniącej, soczystej trawie.

Ja

W czerwcu, o piątej rano,
W różowej słonecznej stolicy
Idę środkiem najszerszej ulicy,
Idę środkiem najszerszej ulicy!

Jak tam jasno, jak tam daleko
Za tym mostem błyszczącym, za rzeką!
Ach, jak jasno i jak daleko!

Mocno mi, pięknie i młodo!
Pójdę mostem, nad spokojną wodą,
Potem polem, potem zielonem polem
Pójdę w dal,
Jakby upity czystym, przezroczystym alkoholem.

A jak sobie wieczorem ...

A jak sobie wieczorem po ulicy chodzę,
Z podniesionym kołnierzem przy wytartym palcie,
Jak wiem, że niemasz celu mej codziennej drodze,
Chyba: podeszwy zdzierać na szorstkim asfalcie;

Jak sobie naprzód idę, młody i wspaniały,
Jak wsadzę do kieszeni twarde, suche pięście,
— To, jakbym brzemię dźwigał, przewalam się
[cały:

• We mnie to się przewala me pijane szczęście!

Pan

Pan, sprośny satyr leśny, twór grecko-słowiański,
Szalonej wiosny bożek z polskim sentymentem,
Król-narwaniec, radośnik, apostoł pogański,
Parskam, pękam ze śmiechu w upojeniu świętem!

I jak się nie śmiać?! Świtem w lesie sobie leżę,
Kopytem bijąc w sosny pień... Nademną — ptaki
I słońce... Więc się śmieję, rozkoszny bóg-zwierzę,
Aż drżą ostępy dzikie i rozrosłe krzaki.

Leżę, genialny kozioł... A wstanę — polecę,
Huknę, stuknę, zadudnię, przestraszę wiewiórkę
I zawlokę w jałowce kąpiącą się w rzece
Miedzianowłosą Krystę, młynarzową córkę!

Mądrość

Oto jest siejba, kmiecie, oto jest siejba ziarna.
W górze jest słońce białe, a tu jest gleba czarna.

Oto jest lecha ziemi, pługami gęsto zryta,
A czas nastanie, kmiecie, i wzrośnie łanem żyta.

A to jest zwiesna, kmiecie, gdy ziarno leży
[w grzędzie;
A kiedy żniwa przyjdą — to tamto lato będzie.

I oto łada-młódka. A zważcie mądrze, kmiecie:
Żeną mi cudną będzie — a będzie miała dziecię.

Takoż i zboże wszędzie, złociste i dostale,
Bo tu jest gleba czarna, a w górze — słońce białe.

Dziedzilja

„Są tajemnicze
Błyski, szmery krwi, nieznane szelesty
W głębi dziewiczych ciał — i te się budzą
Bóg wie jak...“

SŁOWACKI „Beniowski“ Pieśń VI

Przeciążkie dojrzewanie zbóż. Dziewczyny z drze-
niem czekają: czy już? O, cudne okrąglenie piersi!
O, krwi! I czują jakieś przelewania w ciele, jakaś
nieznana budzi się moc... O, biódr dziewczęcych
wygięcia precudne! Długie, słoneczne, żmudne, go-
rące dni! O, dojrzewanie dziewicze upojne! O, nie-
spokojne, tajemnicze chęci kochania! Kwitnienie!
O, mocy słodka i znojna! O, sny rozkwitłe w parną
letnią noc! Przeczuwać chwile! Chwile dziwnych,
trwożnych zagadek!

A słońce patrzy, a pali, lśni, i dziwne siły wlewa
do krwi, i coraz więcej, coraz goręcej kocha się
słońce we krwi dziewczęcej... (To jaśmin kwitł...
to kwitł bez... śniły sen, a sen zczezł...)

- Jedna szepnęła: Wstyd...
- Druga szepnęła: Nic...
- Trzecia spytała: Wiesz?

— Czwarta w płomieniu lic, jak róża, oczy przy-
mruża i mówi: WIEM.

...! wtedy — dziwna spojrzeń powłóczyłość!
! wtedy — cudna ruchów ociążałość! Czystość! Bia-
łość! (A może chuć? A może tajne, groźne prze-
czuwanie lubieżnych czuć?)

! czują, że coś się stanie...

O, okrągłości! O, lato! O, dojrzewania mocy!
O, pełni!

A wczoraj nie wiedziały, a dziś już wszystko
wiedzą! Dziwie!

O, Dziedzilijo! Dziedzio!...

Protoplasta

Myśl moja, jak sprężyna, w przeszłość odskakuje
I uderza w pierwotność wiecznej mojej duszy:
Oto się mozoł wieków w pył bezpłodny kruszy,
Oto mi się Legenda wieków ukazuje!

Powracam — tysiącwiecza mijają w przelocie,
Pędzę wstecz—tam—do ciebie, Protoplasto twórcy!
Czas w burzę się rozognia w szalonym odwrocie
I ściętno napęczniałe w rzut, w wieki, się kurczy!

Cisnąłem! — Grom! W kosmicznym, cyklopowym
błysku

Została groźna wizja, snów gniotący nawał:
Oto pod gwiazdną nocą siedzę przy ognisku,
Rwąc ostremi zębami krwawy mięsa kawał.

* * *

Życie? — — —

Rozpręzę szeroko ramiona,
Nabiorę w płuca porannego wiewu,
W ziemię się skłonię błękitnemu niebu
I krzyknę, radośnie krzyknę:
— Jakie to szczęście, że krew jest czerwona!

Helios

A na krańcu dalekiej ulicy
Zarumienił się świt złotolicy!
Zarumienił się, zaczerwienił się,
Hej-że, sława! Rozpłomienił się!

Różowiła się dal przezroczysta,
Podnosiła się kula ognista!
Podnosiła się, wytaczała się,
Hej-że, sława! Powiększała się!

I płomienne słoneczne języki
Łaskotały kamienne chodniki,
Całowały je i pieściły je!
Hej-że, sława! Hołubiły je!

Wesoła pieśń o domu

Hej, wysoki dom, czerwony dom!
Hej, otworzone wszystkie okna!
Pusty, zupełnie pusty dom,
Wiatr otworzone ciska okna
Tu i tam, tu i tam!
Z brzękiem, z trzaskiem wszystko drga,
Ha-ha-ha! Ha-ha-ha!

Wpadł weń z impetem szumny wiatr,
Tańczy po salach, po pokojach!
Za boki chwycił się — i rad,
Że mu tak dobrze w tych pokojach!
Ani się śmieje, ani łka,
A we drzwi wali, niby łom,
Raz w jedną, a raz w drugą stronę!
Hej, bo wysoki dom, czerwony dom,
A wszystkie okna otworzone!

A są w tym domu różne drzwi,
Z zewnątrz i wewnątrz otwierane!

Hulają sobie wolne drzwi,
A wszystko trzaska, wszystko drży
Jakieś radosne i pijane!
Hej, bo się upił wielki dom,
Jak słońce lub jak szewc w niedzielę,
Hej że! Wysoki dom, czerwony dom!
Tańczy w komnatach wicher śmieie!

A są w tym domu różne drzwi,
Z zewnątrz i wewnątrz otwierane!
Wiatr sobie z drzwi i okien drwi,
Myśli ma tańcem opętane!
A hulaj, wietrze, tłucz i łam,
A wal z komnaty do komnaty,
Świśnij przeciągiem tu i tam,
Toć wyniesiono wszystkie graty!

Niema nikogo! Pusty dom!
Swobodo moja! Dalej w tany!
Samiśmy tutaj, sami, krom
Wichrowej pieśni opętanej!
Wywijaj, wietrze, tłucz i grom!
Tłucz nowe szyby! Drzwi pchaj w stronę,
Gdzie były nieme i przymknione,
Hej, bo wysoki dom, czerwony dom,
A wszystkie okna otworzone!!

Syna poetowego narodziny

Prą! Dębowe wrota wywalili,
Wysadzili z zawiasów zawory,
Rozśpiewali się, roztańczyli,
Ni to larwy, ni zapustne zmory,
Umaili kwiatami kędziory,
Aj, pili snąć! dużo pili!

Dmą w piszczalki, tną w grube basetle,
Sowizdrzały, łokietki, poczwary,
Chochlik, Świstak i Boruta stary,
Pan Twardowski i wiedźma na mietle,
Żydy, pany, mieszczańcy i chłopcy,
Kuse fraki i szerokie popy!

A na przedzie kompanji ochoczej
Marchońt gruby a sprośny się toczy,
Podryguje, opasły, a sapie,
Z tłustej brody małmazja mu kapie,
Kwiczny, bestja, tańcząc, wywijając,
Dylu-dylu na badylu grając!

A witajcie-że mi, goście mili!
A bywajcie mi, śmieszki-wesołki!
Hej, pachółki, w rząd ustawiać stołki,
Warzyć jadło, smażyć mięsa połcie,
Będziem jedli, będziem miody pili,
A witajcie-że mi, goście mili!
Racz do izby, kochany Marchoście!

Chrzciny u mnie! Chłopak — niech go katy!
Tłuścioch pulchny, czerwony, pызaty,
Patrzcie — leży: ślipska wybałuszyl,
A nadał się czegoś, napuszyl,
Mam ja tęgi frasunek z mołojcem!
Hej, Marchoście, bądź mu chrzestnym ojcem!

Śmiał się głośno, kiedy się narodził,
A na czole miał wieniec różany;
Mleka nie chce — wina piłby dzbany!
Ksiądz-dobrodziej oglądać go chodził,
Mówił, że się Antychryst narodził:
Na świat przyszedł — pomyślcie — pijany!
Ksiądz nie ochrzcił — wy mi go ochrzczycie!
Toć sto pociech będziem mieli z synem!
A za zdrowie jego mocno pijcie,
A pokropcie go święconem winem,

A wykąpcie go w miodnej kąpiel!
Herasz djabłu i świętoszkom w Rzymie!
Hulaj dusza! Niech się świat weseli!
Dyonizy będzie mu na imię!

Symfonja o sobie

I

Maestoso

Hej — — — ! Wiatr — wiatr — wiatr —
Hej — — — ! Dmie — dmie — dmie —
Dmie prosto w twarz,
Wieje, wionie, owiewa,
Jak prąd ożywczy zalewa,
Orzeźwia, ochładza, jak fale,
Wiatr — wiatr — wiatr —

Idzie człowiek naprzeciw wiatrowi,
Idzie Młody po szumnej ulicy,
Zdjął kapelusz i idzie swobodnie,
Idzie człowiek naprzeciw wiatrowi,
Śród miljarða „człowieków“ — jedyny,
Bowiern imię ma swoje i wygląd
I nikt w świecie nie jest taki sam!
A na imię ma ten młody Juljan,
A po ojcu i po dziadach Tuwim,
Więc to ON jest, ON, a nie kto inny!
Duże kroki robi, kroki pewne,
Czuje zgięcia lekkie w nóg przegubach,

Lewą rękę wcisnął do kieszeni,
Prawą ręką trzyma kij drewniany,
I opiera się na twardym kiju,
I tak idzie, idzie sobie napród,
I rozwiewa mu wiatr ciemne włosy
I do siebie się ten młody śmieje,
Że tak idzie, idzie sobie napród,
Że tak dmie mu w twarz rozweseloną
Wiatr — wiatr — wiatr...

A jak napród iść — to jest daleko,
To jest cudnie i straszliwie mocno,
Bo dal dała w bezkres się wydłuża
I jest *prosto* kędy się krok zwróci.
A nie będzie ów Młody szedł kołem,
Bowiem w linji sobie upodobał,
W linji prostej, tyrańsko logicznej,
W linji szybkiej, w bezcielesnej linji,
Co się rusza, bo Młody się rusza,
I posuwa się mądrze, genialnie!

A nie zapędź się, Młody, nie zapędź!
A poczekaj i rozważ, co czynisz...
A posłuchaj-że śmiechu swojego,
Jaki dziwny jest, jaki bezbrzeżny,

Jak się w tobie gromadnie potęży,
Jak zalewa ci duszę szaloną,
Jak zaczyna się stężyć kamiennie,
Jak gruchoce, jak sypie djamenty,
Jak bezładnie się w tobie szamoce,
Jak pijany, zatacza się w tobie,
Skacze, szumne wyprawia brewerje,
Jak się łkaniem co chwila zanosi,
Jak ci oczy smętnieją, gdy idziesz,
Jak się boisz już śmiechu swojego,
Kroku zwalniasz, ty Młody, zawzięty,
I przystajesz, za serce się chwytnasz,
I oddychasz, zmęczony, i patrzysz,
Jak ucieka dal twoja bezmierna...

I faluje ci pierś niespokojna,
I tęsknota cię wielka ogarnia,
I powoli, powoli, powoli,
Coraz głębiej, serdeczniej, swoiściej,
Pieśń się budzi w twej duszy, o Młody!
Jak kościelna podniosła melodja,
Pieśń powstaje wspaniała i smutna,
Pieśń o smutku kosmicznym, prastarym...
I wróżebne melodje załkały:
Nieukojne, głębokie, ogromne...

II

Andante -

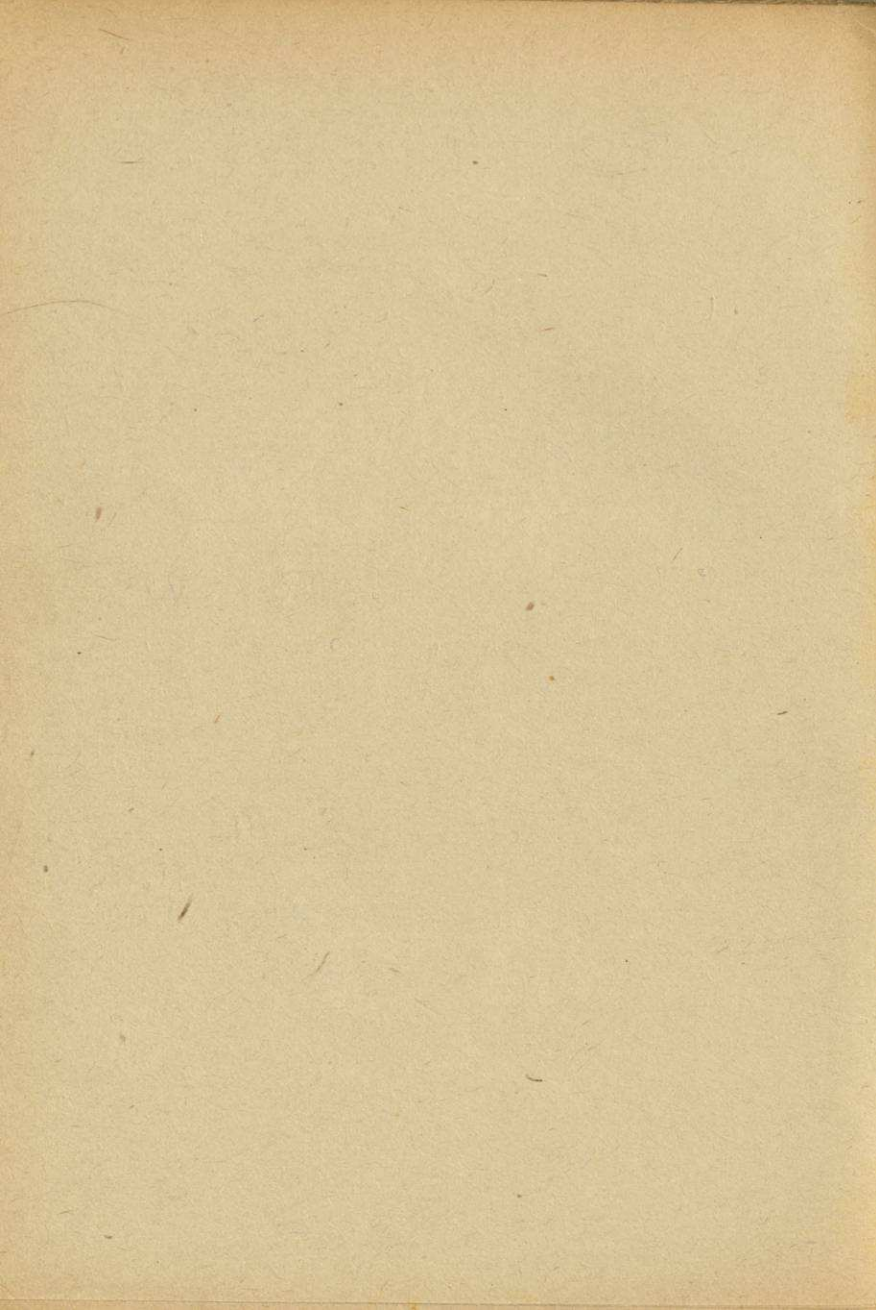
I kędyż ty go prowadzisz,
Drogo daleka?
I czem go cieszysz, radujesz,
Drogo strzelista?
Ach, w owej dali ogromnej
Nikt nań nie czeka,
Chyba ta jaśń porankowa:
Cicha i czysta.

I cóż mu, drogo, odpowiesz
Na skargę żalną?
I czem go, drogo, pocieszysz
W smutnym powrocie?
Nie wyjdzie nikt na spotkanie
Z pieśnią witalną,
Jeno się trawy pochyla
W wielkiej tęsknocie...

A kiedy wróci, strapiony,
Z boleścią srogą,
Może się będzie oglądał,
Czy kto nie czeka!

Ach, czem go wtedy pocieszysz,
Strzelista drogo?
Ach, cóż mu wtedy odpowiesz,
Drogo daleka?

III



Przyjście

Uciszcie się, uciszcie się,
Połóżcie dłonie na sercach:
Przez łąki kroczy jasny Zjaw,
Jak cień po białych kobiercach.

Uciszcie się, uciszcie się,
Zbliża się Pasterz z oddali,
A w ręce ma błękitny krzyż,
A na nim krople korali.

Uciszcie się, uciszcie się,
Padnijcie na kolana!
Hosanna, mówcie, chwała Mu!
Witajcie śpiewem Pana.

Chrystus

Nie skarżę się, mój Ojczy, nie skarżę się, mój Panie,
Iżes dał sercu memu to smutne miłowanie.

Nie skarżę się, mój Ojczy, że tak samotnie chodzę,
Żem się już wielce znużył na tej ciernistej drodze.

Obchodzę chaty z wieścią: „Zbliża się z łaski nieba“,
A ludzie mówią: „Z Bogiem...“ I dają kromkę chleba.

Czyli są słowa moje tak bardzo niepojęte?
Nie widzą że się zbliża Królestwo Twoje święte.

Nie widzą, że niebiosa rozwarły się narodom,
Nie wierzą, choć im prawie z radością i z pogodą...

Lecz się nie skarżę, Panie, że tak strapiony chodzę.
Że niema, niema kresu ciernistej mojej drodze.

Ptaszkowie mają gniazdka i liszki mają schowy
I tylko Syn Człowieczy niema gdzie skłonić głowy.

Lecz to nie skarga, Panie... Spraw jeno w bliskim
[cudzie,
Iżby mnie zrozumieli ci dobrzy, cisi ludzie.

Nowina

Radujmy się, dobrzy ludzie,
Weselmy się, prostaczkowie!
Przyszła do nas w zwykłym słowie,
Przyszła do nas w jasnym cudzie
Nowina, nowina!

Czekaliśmy, niecierpliwi,
Wyglądali za roгатki,
Na spotkanie biegły dziatki
I staruszkowie szczęśliwi,
Na spotkanie Syna,
Bożego Syna!

O, jaka dobra godzina!
O, jakie miłe zdarzenie!
Przyszła do nas Nowina,
Przyszło ślepym przejrzenie,
A grzesznym przebaczenie,
A niewierzącym wiara!

Ach, otwórzcie zawory!
Ach, umajcie zielenią
Alkowy i komory,
Uzdrowiony jest chory,
A smętny — pocieszony,
A kto pracą znużony,
Odpoczywa po trudzie!
Serca się uradują,
Dusze się rozpromienia,
Dobrzy ludzie!

*

*

*

Głupcy, gapy, głuptaski,
Chodźcie, będziemy śpiewać!
Dostąpcie Bożej łaski,
Nikt się nie będzie gniewać!

Nikt się z was śmiać nie będzie,
Na łączkę chodźcie, na trawkę,
Każdy z was mądrość posiędzie,
Każdy mieć będzie zabawkę!

Prawda? Strasznie na świecie!...
Tyle się dzieje wokół,
A głowę coś gniecie, gniecie,
Jakby obręczą kto oku!

A tu świat prosty, wesoły!
Wózki nas w pole wywiozły!
Tu święte apostoły
Też wywijają kozły!

I my będziemy wywijać,
Chichotać i gawędzić,
Będziemy mleczko popijać,
Szczęśliwie żywot pędzić!

Dostąpcie Bożej łaski!
Nikt drwić z was tu nie będzie!
Głupcy, gapy, głuptaski!
Każdy z wss mądrość posiędzie!

Solenizanci

Którzy jesteście obcy w tem ogromnem mieście,
A w dali też nie macie domu ni rodziny,
Którzy w samotni pustej i w smutku jesteście,
A obchodzie może dziś swe urodziny;

Którzy siedzicie w wieczór zimowy przy stole,
Patrząc w kąt nieprzyjazny zimnego pokoju,
W wyszarzanym surducie, zjedzonym przez mole,
Lub w sukni komicznego i starego kroju;

Obrażeni na szarą obojętność godzin,
Która wam uroczyste serca wasze rani;
Którym niema kto tutaj wieszować urodzin,
Solenizanci biedni, cudzy i nieznani!

Którzy nie macie dokąd kroków swoich zwrócić,
Gdy pleśnią szarej nudy pokój wasz zarasta,
O, moi nieszczęśliwi! Przestańcie się smucić!
Przyjdzie wam dziś wieszować jasny Chrystus

[Miasta I

Chrystus miasta

Tańczyli na moście,
Tańczyli noc całą.

Zbiry, katy, wyrzutki,
Wisielce, prostytutki,
Syfilitycy, nożownicy,
Łotry, złodzieje, chłacze wódki.

Tańczyli na moście,
Tańczyli do rana.

Żebracy, ladacznice,
Warjaci, chytre szpicle,
Tańczyły tan ulice,
Latarnie, szubienice,
Hycle.

Tańczyli na moście
Dostojni goście:
Psubraty!

Starcy rozpustni, stręczyciele,
Wstydlivi samogwałciciele.

Wzięli się za ręce,
Przytupywali.
Grały harmonje, harmoniki,
Do świtu grali,
Tańczyli tan swój dziki:

Dalej! Dalej!
Żarli. Pili. Tańczyli.

A był jeden obcy,
Był jeden nieznany,
Patrzyli nań z podełba,
Ramionami wzruszali,
Spluwali.

Wzięli go na stronę:
Mówili, mówili, pytali,
Milczał.

Podszedł Rudy, czerwony:
— Coś za jeden?

Milczał.

Podszedł drugi, bez nosa,

Krościasty:

— Coś za jeden?

Milczał.

Podszedł pijus, wycedził:

— Coś za jeden?

Milczał.

Podeszła Magdalena:

Poznała, powiedziała...

Płakał...

Ucichło. Coś szeptali.

Na ziemię padli. Płakali.

Staruszkowie

Patrzmy sobie na ulicę
Przez wpółrozwartą okiennicę.

W czółka całujem cudze dziatki
I podlewamy w oknach kwiatki.

Żyjemy sobie jak Bóg zdarzy.
Zrywamy kartki z kalendarzy.

Chrystusie...

Jeszcze się kiedyś rozsmucę,
Jeszcze do Ciebie powrócę,
Chrystusie...

Jeszcze tak strasznie zapłaczę,
Że przez łzy Ciebie zobaczę,
Chrystusie,

I taką wielką załobą
Będę się żalił przed Tobą,
Chrystusie,

Że duch mój przed Tobą klęknie,
I wtedy — serce mi pęknie,
Chrystusie...

Melancholja stojących przy ścianie

Miasto też ma smutek, też ma zadumanie:
Są w nim dziwni ludzie, co stoją przy ścianie.

Stoją z pochyloną na bok głową ludzie,
Może są zmęczeni, może śnią o cudzie.

Stoją nieruchomi, w jeden punkt wpatrzeni,
Szarzy, jak szarzysta śródmiejskiej przestrzeni.

Patrzą tępo, szkliście, jakby bez pamięci...
Nie budźcie ich nigdy: to są ludzie święci.

Święci, chociaż drzemią bezmyślnie pod płotem.
Oni nic nie wiedzą, ale ja wiem o tem.

Śmierć

Przyniósł jej kwiaty o jesieni

(Mój Boże...)

Tuberozy przyniósł jej śmiertelne.

I byli w miłość zapatrzeni,

(Mój Boże...)

W jakieś wielkie szczęście niepodzielne

Mówiła: „Zostań, zostań ze mną,

(Mój Boże...)

Będę twoją w tę noc, mój jedyny!

Będziemy sami nocą ciemną,

(Mój Boże...)

Będą dzisiaj nasze zaślubiny...

Zamknę drzwi, nie będzie słyhać,

(Mój Boże...)

Że tu jest mój miły Narzeczony“...

A gdy poszła drzwi zamykać,

(Mój Boże!!!)

Ktoś je mocno szarpnął z drugiej strony.

Dziewczynom

Zmęczone już jesteście. Wasze oczy ciemne
Słodki zmierzch wytęskniły dziewczęcą tęsknotą.
Słońce kona daleko... O, żale daremne
Dnia, co próżno odganiał zórz czerwone złoto!

Idźcie do domów swoich. Świec nie zapalajcie,
Bo wam miesiąc osrebrzy łagodnie świetlice.
Smutkom, bladym kochankom, nocą się oddajcie,
Dziewczyny mojej duszy, dziwne Tajemnice!

I śnijcie... A gdy rankiem zadrży brzask różowy,
Wdziecie szare i proste, ze lnu tkane szaty,
Pomódlcie się dobrymi, dziewczęcemi słowy
I podlejcie w ogródkach swych ZAKWITŁE

[KWIATY.]

Ogrody szpitalne

Uchwycić tę dziwną chwilę, tę niewysłowioną,
Co zwykle po południu schodzi na ulicę
W dni świąteczne, — i żale cię drżące owioną
I poczujesz niezmierną w swem sercu tęsknicę.

Zobaczysz nudę ludzi i ulic zwątpienie,
Niepokój zbytnej ciszy, żal słów pożegnalnych,
I zbudzi się w twej duszy łagodne znużenie:
Ewangeliczny smutek ogrodów szpitalnych.

...Dzwoni gdzieś jednostajny, monotony dzwonek,
Na drzewach nagich — gniazda samotnych jaskółek,
Wdowie smutki, apatja, sieroty z ochronek,
Ktoś nieładny w żałobie i starców przytułek...

Uchwycić tę dziwną chwilę... Ludzie siedzą w domu,
Ulice suche, czyste... Gdzieś śpiew niewesoły...
I taki smęt poczujesz, nieznanym nikomu,
Jak uczeń, co ostatni wychodzi ze szkoły.

Ona

Kiełkował w duszy dziwny niepokój. (Przecucia).
Ktoś grał (z moderatorem) fantazję Szopena.
— Drgnęła nagle, jakgdyby od szpilki ukłucia.
Przyszła zła zmora dziewczyn: trapiąca migrena.

I przyłożyła ręce do tłukącej skroni
I przymrużyła oczy. I cała pobladła.
(A w uszach monotownie, natrętnie coś dzwoni)
I podeszła powoli (śmierć... śmierć...) do zwierciadła.

Obejrzała się. Potem na chwilę stanęła.
Spojrzenie. Uśmiech nikły. (A głowę coś tłoczy).
Pięknym kobiecym ruchem stanik swój opięła,
(Uwypuklone piersi drażniły mi oczy).

Potem — podeszła do mnie. Blizko. Strasznie blisko.
(Struchlałem...) Szła woń słodka od włosów kasztanu;
Za rękę mnie ujęła... (zawrót!... pada wszystko!...)
I rzekła wolno: „Chciałam — — coś powiedzieć — —
panu — —“

* * *

Są takie bardzo dziwne, bolesne istnienia...
Są takie życia smutne, niewytłumaczone,
Jak rzucone przez cichych wieczorne spojrzenia
W nieznanym pięknych kobiet ocienioną stronę.

Są takie melancholji pełne zmierzchy letnie...
Są świętej głębi słowa, mówione — nie w porę!
Są dziewczęta czternasto- i piętnastoletnie,
Co milczą i na serce są przez lata chore.

Są, jak nokturn Szopena... Jak zmierzchy, owiane
Najśłodszych wspomnień żalem... Jak dawne
[godziny...]

Są — jak te słowa moje — niedopowiedziane
Samotne, piękne, czułe, wieczorne Dziewczyny.

Noszą w głębokich oczach przez całe swe życie
Jakąś fiołkową własnej duszy tajemnicę.

Wszystko im jest ostatnie... I więdną w rozkwicie,
Trawione przez najświętszą jesienną blednicę.

A gdy zbliży się cicha godzina skonania,
Milczą długo. Wtem—krzykną!!—i serce im pęka.
...Wtedy w innym pokoju zegar „raz“ wydzwania,
I przy pościeli zmarłej ktoś szlochając klęka.

Potem mają mogiłkę, bratkami zasianą,
Pomnik, gdzie chór ptaszęcy zbiera się i gwarzy,
I śmierć, jak życie, mają niedopowiedzianą,
Taką cichą, jak wiosna śród miejskich cmentarzy...

Zostaje po nich kajet — „pamiętnik“ najszczerzy,
Owionięty przedziwną tęsknotą liryczną,
Zostaje trochę słodkich, nieudolnych wierszy
Z jakąś miłością tajną: zmysłowo-mistyczną...

Zostaje po nich pamięć trwożna... Jakaś inna,
Niż po zmarłych być zwykła... Nie mówi się o nich...

Są takie: piękne, ciche i na serce chore...
Są jak upadające bez powrotu gwiazdy...
Jak zaduma nad wodą w białych zmierzchań porę...
Jak listy niewysłane... jak smutne odjazdy...

Czekają, aż im życie śmierć ukojna przetnie,
A usypiają w drzeniu, całując Śnionego...
...Są dziewczęta czternasto- i piętnastoletnie,
Co mają serca chore i smutne...

Dlaczego?

Płuca

I

Strasznie muszą wyglądać nasze chore płuca,
Bo chrapliwą orkiestrą przeraźliwie wyją,
Gdy czarną krew ich głębia gwałtownie wyrzuca
Na białe chustki, które siostry nasze szyją.

Szyjcie, siostry... Bo mamy na tem białem płótnie
Panoramę cuchnącą, kalejdoskop krwawy...
Szyjcie, siostry... Nie patrzcie tak trwoźnie i smutnie!
I my musimy użyć. Chcemy też zabawy...

Kiedy świeżą chusteczkę do ust przykładamy,
Aby na nią wraz z kaszlem spłynęła posoka,
To w fantastyczne krew się wzorzy panoramy,
W obrazki dla naszego wyblakłego oka.

Widzimy oczy dzikie, nabiegłe purpurą,
Słyszymy krzyki żądzы rozbestwionych zwierząt,
Tarzających się w orgji... śnimy choć ponurą
I nagich skowyczących cielsk haniebną nierząd.

Patrzemy, dobre siostry, z zapartym oddechem,
Jak się wolnej rozpusty krwawy wir weseli,
Bo tęsknimy za wielkim urojonym grzechem
Na naszej bladej, nudnej, codziennej pościeli.

A my już bardzo słabi... Wszystkośmy wypluli...
Więc i na was patrzemy grzesznem, podłem okiem...
Boją się nas kobiety, bo im na koszuli
Możemy ślad zostawić, rzygając krwotokiem.

Więc roją nam się szwały! We krwi na chusteczkach
Dostrzegamy obrazy sprośne i nikczemne...
...Śnimy o takich małych niewinnych dziewczeczkach
Na naszych chorych łóżach w chore noce ciemne.

Śnimy o naszych płucach zgniłych, co, jak próchno,
Kawałkami odpada i dni życia skraca,
Czekamy, aż rżące symfonje w nich zgłuchną
I w tym nędznym warsztacie ukończy się praca.

II

A gdy męczący kaszel piersi im rozrywa
I zanoszą się spazmem charczeń astmatycznych,
Gdy znak czerwony śmierci na podbródki spływa,
A mózgi mają pełne rojeń chaotycznych;

Gdy trzęsą w kaszlu nędzne, wychudzone ciała,
Zachłystując się bólem i męką szarpania,
Gdy ceglastym rumieńcem twarz śmiertelna pała,
A wysadzone oczy snią patos konania;

Gdy w ostatnim wysiłku odetchną zmęczeni
I łąpczywie zaczerpną świeżego powietrza, —
Staje przed nimi smutna, szarooka Ksieni:
Chrystusowa Łagoda, od księżycza bledsza...

I wtedy, gdy kroplisty pot obetrą z czoła
I wesprą lepiej głowy na poduszkach zmiętych,
Łagodna Przeorysza ku sobie ich woła
W jakichś słowach, im tylko na świecie pojętych.

I w dal utkwivszy oczy osłupiałe, słyszą
Rozbłękitnionej dali muzykę wieczorną,
I w zdrętwieniu, za bladą Siostrą Przeoryszą
Odmawiają swą cichą modlitwę pokorną.

Poruszają wargami, jako ludzie niemi,
Błyszczą im powiększone oczy przezroczyście,
A zda ci się, że temi wargi zsiniałemi
Szepcą tylko bezmyślnie: Chryste... Chryste...
[Chryste...

I siedzą nieruchomi, straszni, osłupiali,
Wpatrzeni w Szarą Panią, co znika w rozwiewach:
W tej modrej, nienasytnej, bezgranicznej dali,
W rozpierzchu, w przytłumieniu, w rozmodlonych
[śpiewach...

Wtem im w uszach zaczyna dzwonić coś
[straszego,
I znów, gdy im w ataku słaba pierś załkała,
Zachłystują się spazmem kaszlu szarpiącego
I śmiesznie trzęsą nędzne wychudzone ciała.

Zemsta

Ledwo zadrżą w powietrzu wiosenne podmuchy
I ciepły promień słońca pokoje oświeci,
Budzą się w oknach czarne bzykające muchy,
I podchodzą do okien małe miejskie dzieci.

...Błądzą za biegiem muchy oczy podkrążone
I palce się po szybach ślizgają pośpiesznie,
Już ją ma... nie, uciekła, w inną biegnie stronę,
Aż ją dziecko w kąciku przyłapie uciesznie.

Chwyta ją w zawalane atramentem palce,
W ogryzionych paznogciach okrutnie ją ściska,
Obrywa jej skrzydełka, aż, zwycięzca w walce,
Rzuca muchę, dość mając tego widowiska.

A nocą, kiedy dziecko, zmówiwszy pacierze,
Zda się śpi snem niewinnym, — w straszliwej
[ohydzie
Potwornego snu wstaje gigantyczne Zwierzę
I za zbrodnię dnia głupią — Wielka Zemsta idzie!

U sąsiada

Pewno ktoś chory u sąsiada,
Bo codziennie, kiedy zmrok zapada,
Postać się w oknie zjawia blada.

Pewno ktoś ciężko chory doma,
Bo staje drętwa, nieruchoma,
Ze splecionymi w krzyż rękoma.

I coś strasznego w oczach skrywa,
Ani się słowem nie odzywa
I tylko dziwnie głową kiwa.

I tak bezsłownie opowiada,
Jakby rzecz chciała: biada, biada...
...Pewno ktoś umarł u sąsiada.

Dzień

Dzień był dziś dziki, dziwnie niespokojny.
Krążyły głuche wieści między ludem,
Tłum po ulicach spacerował rojny,
I było w mieście trwożnie... Jak przed cudem.

Biegli. Wracali. Czekano nowiny.
Bledli. Szeptali. I znaki robili.
Mówcie! — Milczeli. Płynęły godziny...
Mówcie!! — „Nie wiemy...“ Kłamiecie! — „Zabili!“

Upał straszliwy piekł suche chodniki,
Leniwa nuda wpełzła w puste domy...
Chaos i cisza... Obłąd krążył dziki,
Zataczał koła, zastygł nieruchomy...

I parno było, duszno do wieczora...
I zanosiło się na wielką burzę...
Sina nad miastem rozrosła się zmora,
Ciemno-liljowe chmury zwisły w górze.

Zakręcił wicher szary pył uliczny!
Szyldy się tłukły o cierpliwe ściany...

Księżyc z za chmurzysk wychynał mistyczny
I skrył się, blady śmiertelnie, znękany...

Noc się już zbliża. Wyje wiatr na dworze
I drzewa zgina i liście kołysze...

Daj sen spokojny starcom, Panie Boże,
A wszystkim grzesznym wiekuiłą ciszę!

Pogrzeb

Świeciła mdło naftowa lampka,
Wynieśli na czarne schody,
Na czarne schody drewniane,
Szli, szli, schodzili,
Szeptali coś, mówili,
Schylali głowy,
Głowami kiwali,
Szli, szli, schodzili,
Śnieg padał, mokro było,
Ręce załamywali.

IV

Żydzi

Czarni, chytrzy, brodaci,
Z obłąkanemi oczyma,
W których jest wieczny lęk,
W których jest wieków spuścizna,
Ludzie,
Którzy nie wiedzą, co znaczy ojczyzna,
Bo żyją wszędy,
Tragiczni, nerwowi ludzie,
Przybłądy.

Szwargocą, wiecznie szwargocą,
Wymachując dłońmi rękoma,
Opowiadają sobie jakieś trwożne rzeczy
I uśmiechają się chytrze,
Tajnie posiadli najskrytsze
Z miljarða czarnych, pokracznych literek
Ci chorzy obłąkańcy,
Wybrany Ród człowieczy!
Pomazańcy!

Pogładzą mokre brody
I znowu radzą, radzą...

— Tego na bok odprowadzą,
Tego wołają na stronę,
Trzęsą się... oczy strwożone
Rzucają szybko przed siebie,
Czy kto nie słyszy...

Wieki wryły im na twarzach
Bolesny grymas cierpienia,
Bo noszą w duszach wspomnienia
O murach Jerozolimy,
O jakimś czarnym pogrzebie,
O rykach na cmentarzach...

...Jakaś szatańska Msza,
Jakieś ukryte zbrodnie
(.. pod oknami... w piątce... przechodnie...
Goje... zajrzą do okien... Sza! Sza-a-a!)

Symfonia wieków

Huczy wieków symfonia hymnem uroczystym:
Wryły się w twardej ziemi grudy ostre radła,
Brzękły miecze stalowe rozdźwiękiem srebrzystym,
Z hukiem ciężkim upadły młoty na kowadła!

W bębny wojenne biją! Hej, mocniej! W rytm trwogi!
Rozniósł się wielkiem echem hymn miljostrunny,
Tłумы czarną kurzawą zapełniły drogi,
Tętentem kopyt końskich pędzą dzikie Hunny!

Miasta płoną! Rzym płonie łun pożogą krwawą
Cezarom na uciechę, dla władców pijanych!
Strach śmierci! Płacze starców, zagłuszone wrzawą,
Zgiełk paniczny w olbrzymich grodach obłąkanych!

Z Chrystusami na krzyżel! Płoną drzewa stosy!
Miserere żałobne... — Ciał płonących sądu!
Krwil Samic! Chleba! Złota! Padają Kolosy
W gruzy kamieni z trzaskiem! Sodom! Dzień Sądu!

Hej, silniej! straszniej! groźniej! Wałą w mur kilofy!
Pękają kotły maszyn! Rewolucje! Mordy!

Katakлизmy żywiołów! Wojny! Katastrofy!
Zgrzyt rygli czarnych więzień! Żądz buchają hordy!

Ryczy Symfonia Wieków! Ryczy pieśń wspaniała!
Szalona w groźnym pędzie! Bez kresu! Bez końca!
— Hej, Ziemi! I mnie dusza w pieśń się rozspiewała:
„Pędzisz dokoła Słońca, Słońca, Słońca, Słońca!”

Sztab

I

Puste, ciche, bezludne ulice.
Noc. Blask biały elektrycznych lamp.
Cicho.

Lampy świecą, jak srebrne księżycy
I poświatę na chodniki leją,
Błyszczą szyny, a domy bieleją,
Domy równe, wysokie, milczące:
Z tej strony rząd — i z drugiej rząd.

A z dali, z dalekiego krańca,
Z dalekiego rynku u wylotu,
Pędzą czerwono-złote słońca,
Pędzą cicho.

- Coraz większe. (Suną bez szelestu).
 - Coraz bliżej. (Snopy światła niosą).
 - Coraz szybciej. (Psswiu-u! psswiu-u-u!)
- Trąbka: tru-tu-tu-tu!

Elegancko, elastycznie przemknęły,
Zostawiły swąd i dym białawy,

Zostawiły w oczach poblask krwawy,
Zniknęły.

II

Czternaście samochodów otwartych,
A piętnasty, zamknięty, na przedzie,
Popędziły szosą wyboistą,
Sztab na pozycje jedzie.

W pierwszym — dwaj siwi i dwaj młodzi.
Milczą. Pałą.

W innych — sami młodzi.
Wyjeżdżają na pozycje z Łodzi,
Na front, gdzie armaty wałą,
Gdzie trejkocą piekielne maszyny,
Gęsto warczą twarde karabiny...
Pędzą.

III

Siedzieli przy stołach, schyleni
Nad mapami, planami wielkimi,
I pisali, kreślili, znużeni,
Gorączkowo, twórczo zamyśleni:

„Cembrowice“, „Żelazna“, „Makówek“,
Trzeci korpus na zachód, do Płońska,

Do ataku dywizja dragońska,
Von Borgovius z swym pułkiem niech wraca,
Von Kolmacky niech czeka w Miedzinie,
Wrzała praca, gorączkowa praca,
Pukał, stukał aparat na stole,
Dzwonił cicho dyskretny telefon:
„Osaczeni. Sześć. Osiem. A. — w kole“.
Na pasemku literki skakały,
Choraągiewki na mapach sterczały,
To szły naprzód, to w tył, to w półkole...
...Pukał, stukał aparat na stole.

IV

Nagle — siwy z purpurowym lampasem
Zmarszczył brwi, do ust palec przyłożył,
Suchą dłonią mocniej ścisnął słuchawkę...
W aparacie coś pękło z hałasem,
Zabębniło, zadudniło, zadrzało,
(W młodych serce zamarło, omdlało,
Wzniesli oczy i wparli w siwego — — —)
„Meine Herren, die Linie durchbrochen...“
(Dolna warga, jak wprawiona w drgawkę)
— Coś cisnęło się nagłym popłochem! —
Ktoś na mapie czerwonym ołówkiem
Krąg nakreślił nad samym Makówkiem,

Ktoś papiery pakował do teki,
Ktoś gdzieś krzyknął, ktoś bardzo daleki,
Jakiś wzrok, jakiś gest, jakieś słowo — —
...Ktoś pośpiesznie przekładał przez ramię
W futerale lornetkę polową...

„Extrablatt!“

Pan kapelmistrz zwarzował widocznie:
Macha strasznie, podnieca go hałas!
Brak już tchu! Panie, niech pan odpocznie!
Takie tempo — to absurd, to chaos!

Wrzawa, wrzawa, a two-step szalony
Wre i pieni się, miota iskrami!
Ponad głową mą kelner spocony
Z entuzjazmem wywija kuflami!

Sapia, dyszą, parują i pachną,
Wrzawa, wrzawa, w rozgwarze, w rozdźwięku:
„Extrablatt!“ Ktoś wyskoczył i machnął
W dymie, zgiełku i krzyku i brzęku!

A przez miasto, kipiące narodem,
Który buchnął, jak czarna krzw z płuca,
Pędzi Śmierć, pędzi Śmierć samochodem,
Chmary kartek czerwonych rozrzuca!

„Mort Homme“

— Słuchaj! Czy ty nie słyszysz?
Krzyczę wszak, krzyczę do ciebie!
Dlaczego śmiejesz się głupio?
Dlaczego nie odpowiadasz?
Och, huk — huk — huk — huk!...

Słuchaj, zemdłała ręka,
Trzasnęło... tu... koło mnie...
Och, głupi — dlaczego padasz?!
Nie trzymaj! Jezul Puść!
Ja nie chcę! Nie chcę! Nie mogę!
Nie czepiaj się moich nóg!
W gardle mi zaschło! Nie mogę!
Czego wskazujesz na nogę?
Nic nie wiem... a! ręką o gwóźdź!!
Dlaczego tak trzeszczy w głowie?
Dlaczego ty na mnie wisisz?!
Ty podły, podły, puść!
Po pysku będę walił!
A! Patrz! Ten się spalił!
(Huk — huk — huk — !)

Słuchaj! Ja krzyczę! Krzyczę!
Czy — ty — nie — sły — szysz — ?!

Atak

„Hurra!“ Łby opuścili, jak bawołów stado,
Zgięli się — i runęli naprzód, na bagnety!
Upojeni krwią, ogniem, krzykiem, kanonadą,
Wściekli, cudowni, pędzą, jak konie do mety.

Trzeszczą kartaczownice gęstym, suchym trzaskiem.
Zmiatają ludzi w pędzie, rośnie zgiełk i wrzawa,
Pęknie coś — i w twarz trzepnie żelastwem i blaskiem,
Kłębią się cielska trupów, góra mięsa krwawa.

Dopadli! Kopia, gryzą, prują bagnetami
Brzuchy, piersi i twarze, krew gorąca bucha,
Miażdżą twarze poległych ciężkimi butami
Lub wdeptują ich ciężar do krwawego brzucha.

Wreszcie, człapiąc nogami w kałuży krwi czarnej,
Spoceni, poszarpani w tym śmiertelnym tańcu,
— Jak szaleńcy, co wnoszą kwiaty do trupiarni,
Zatykają swój sztandar na zdobytym szańcu.

Krwawy chleb

Wzrośnie wam z tłustej ziemi niebywałe zboże:
Ciężkie, ogromne kłosa, napęczniałe ziarna,
Cuda się będą działy w pulchnej ziemnej korze,
Za ziarno każde — korzec da wam gleba czarna.

Zbierzecie plon zasobny na długich lat wiele,
Wymłócicie cepami dary płodnej gleby,
Ponapełniacie worki, młynarz ziarno zmiele,
Matka mąkę zamiesi — i upiecze chleby.

I przy dymiącej misie siądźcie z słowem Bożem.
Ojciec krzyżem przeżegna bochen wypieczony,
Lecz, gdy go krajać zacznie poszczerbionym nożem,
Tryśnie z chleba waszego strumień krwi czerwony!

ŻONIE

V

Liryka

Płynność... płynność... falistość...
Rytm wieczornych dostrzeżeń...
Drżąca, żywa rtęciistość...
Śnień wstydlivość i zwierzeń.

Chwilna, zwiewna przelotność,
Nikłe, smętne więdnienie,
Cicha, cicha samotność,
Cienie, cienie i cienie...

Słowa: słowa ukryte.
Oczy: oczy spuszczone.
(Przeświecanie rozkwitu
Przez pajęczą zasłonę).

Jak wiersz powstaje

Liryzm przedziwny. Liryzm chwil.
Csa... Czeką dusza na zdarzenie,
Na nieuchwytné „coś...” (wzruszenie
I styl odczuwać, ton i styl...)

A potem — słowo. Pierwsze z słów
Zwykle jak błysk przez myśl przechodzi
I w samo sedno stylu godzi
I każe duszy: dalej mów!

A wtedy — wicher! Wtedy — szął!
Mus i tyrański rozkaz chwili!
A potem — spokój. Skroń się chyli
I jeno łkałbyś... słodko łkał...

Imię

Moje życie miało imię dziewczęce,
Imię jasne, jak konwalje pierwsze,
Rwane w trawie błyszczącej o świcie
Przez lilijne szopenowe ręce.

Tem imieniem, promieniami tkanem,
Lśniące liście leśne szeleściły,
Bzy majowe, zroszone perliście,
Tem imieniem pachniały kochanem...

A gdy niebo zwolna wieczorniało,
Gdy przez wyże wiała cisza pełna,
W ciepłym wiewie i w jaskółczym świrze,
W każdym drzewie to imię szumiało

...W opalowym mgieł zmierzchowych dymie
Coś rozwiało się obłokiem zwiewnym,
Smętkiem rzewnym duszę rozśpiewało:
Jakże było memu życiu na imię?

Podmuch wiosny

Dzwoneczki konwalijne,
Dziewczęce sny lilijne!
Kęblane, hołubione
Gołąbki białołone!

Jabłonek kwietne puchy,
Świetliste, mgliste duchy!
Obłoków kłęby zwiewne!
Łzy rzewne! Piosnki śpiewne!

Miłosne słodkie słowa!
O, woni fijołkowa!
Błagalne, pożegnalne
Westchnienia moje żalne!

O, ciszo!... O, łagodo!...
Błękitnych śnień pogod!...
Gołąbki białołone,
Kęblane... hołubione...

Wieczór

Dziewczyny anemiczne, blade, jak wspomnienia,
Z pod długich rzęs przelotne rzucają spojrzenia.

I wolno, krok za krokiem, stąpają niepewne,
Szepcąc blademi wargi słowa modlitewne.

I znużone swej własnej wątlności słodyczą,
Cicho sobie nawzajem dobrej nocy życzą.

Ojczyzna

Ojczyznę moją jest Bóg,
Duch, Syn i Ojciec wszechświata.
Na każdej z moich dróg
Ku Niemu dusza ulata.

Ojczyznę moją jest łąn,
Łąn Polski, prostej, serdecznej.
Niech mi pozwoli Pan
W nim znaleźć spoczynek wieczny.

Ojczyznę moją jest dom,
Kochany dom rodzicielski,
Przytułek cichym snom
Młodości sielskiej-anielskiej.

Patrę, strudzony wśród dróg,
W oczu twych błękit przeczysty,
I jest w nim wszystko: i Bóg
I Polska i dom ojczysty.

Ty

Niczny ja jestem na świecie,
Niczny, jak trawa lub źródło,
Jam jeno Twój jest i Boży,
Jam Twój.

Jam jeno Twój jest i Boży,
Dzień za dniem podążam w dal,
Jasnemu Bogu spowiadam
Swoj żal...

I cicha jest spowiedź moja,
I ciche są moje łzy,
I Bóg mój jest wielką ciszą
I Ty...

Dzień za dniem na Przyjście czekam,
By mówić o żalu znów,
I płynie smutna rozmowa
Bez słów...

Dzień mój się kończy modlitwą,
Wspominam jasnemi sny:
Wspomnienie o moim Bogu —
— To ty...

Wiośnianka

Siostr-wiosno! Siostr-polna dziewanno!
Chwiejna dziewanno miła,
Wiosno oczul... jasna pannol
Ty — świt czerwcowy,
Słoneczny, leśny, rozćwierkany!
Ty — sen, z promieni, konwalji i śnieżnych
[gołębi utkany,
Ty — przymknięcie oczu i zalew jasnych myśli!
Ty — uśmiech szczęśliwej niewiedzy!
Myśl — Tak — Duch zakwitł —
Słowo ciałem się stało —
Usta mówią Boga —
Płyną nieskończone awemarje --
Słowa im nie poradzą...
Może całować ziemię?
Może matkę?

Z podróży

...I przywita cię rozpachniona,
Pełna słońca — ciepła Italja,
Gdzie na niebie lśni roztopiona
Połyskliwa, modra emalja.

Nad twą złotą promienną głową
Nimb szafiru niebo roztoczy:
Szafirowo i lazuruwo
Zajaśnieją twe słodkie oczy.

Zatrzepocze w nich szczęście żywe:
Miłość, słońce i kwietne fale,
I popłyną oczy szczęśliwe
W przezroczyste błękitne dale...

I przyniosą radość kochania
Z bezgranicznej jasnej przezroczocy:
Ramion sploty, ust całowania
Obiecują miłosne oczy...

...A wieczorem — tkliwą pieśczętę
Ześle dolce chiaro di luna,
Drzewa szepną: „Buona notte“
Gdzieś zadzwoni trącona struna...

I zaszemrze — rozkołysana,
Jak aksamit dźwięczny pianina,
La canzona napolitana,
Che si canta con mandolina.

List

Śnieg pada... pada bezgłośnie...
Patrz — — śnieg...
Na duszę dziewczęcą Twoją
Całunem legł...

Bielutko. Cicho. Szczęśliwie.
Śnieg — — patrz...
Bezgłośnie ozwie się w duszy
Serdeczny płacz...

A wtedy zagraj przesmętnie
„Valse triste“...
Śnieg pada... pada... Już kończę
Mój dziwny list.

Jesień

(Preludjum)

Wiem... Siadłaś teraz przy oknie
I patrzysz...
Kasztan poźółkły przed Twem oknem stoi
I liście roni... jesienne liście...
Deszcz kropi... kasztan moknie,
Wiem: siadłaś teraz przy oknie,
Jesienią Ci się w dobrych oczach smutki,
Te Twoje smutki: dziwne... przypomniane...
Lecą, lecą z kasztanu liście,
Powiędłe, obłąkane,
Szelestnie naziem się kładą,
Żałobnie... Złociście...

— A może świeci słońce?

— — — — —

A ja wiem, że Ty myślisz o mnie,
Bo byłem u Ciebie wczora...
Pamiętasz? Smuciłem się ogromnie,
Bom miał od Ciebie jechać,
(...Cichości, cichości jesienna...)
Bom miał od Ciebie jechać,

Nie patrzeć już w Twe dobre oczy,
Ani do Ciebie się uśmiechać,
(...Cichości... cichości jesienna...)
Uśmiechać się, jak Pani chora,
Co w wielkiej sali kona...
Ja byłem u Ciebie wczora,
Ja wiem...

— A może świeci słońce?

— — — — —
Na ulicy nikogo niema,
Ciche, ciche jest twoje miasteczko,
Tylko lecą z kasztanu liście,
A kasztan moknie, moknie...
Siedzisz, moja miła, przy oknie,
Siedzisz, moja dobra, przy oknie,
Moje smutne, nienazwane szczęście!
...W pokoju zegar cyka,
Jak codzien, jak co chwila,
(Lecą, lecą z kasztanu liście...
...Cichości, cichości jesienna...)
Takaś ty już zmęczona,
Senna,
Główka na bok się przechyla,
Łza w oczętach załśniła — — —

— Ach, o czymżeś się zamyśliła?

— Ach, czemużeś się zasmęciła?

I ja tu taki samy...

Ja też...

Tak się już dobrze znamy,

Tak się już dobrze znamy...

— Wiesz?

— — Lecą z kasztanu liście,

Żałobne, obłąkane,

Naziem się kładą złociście,

A kasztan moknie, moknie,

Siedzisz, moja dobra, przy oknie,

Siedzisz, moja miła, przy oknie...

...A może świeci słońce?

VI

Wieczorem

Ostrą, świeżą wonią pachnie siano. Siądźmy tu, pod stogiem. Siano wyschło, chrzęści. Rozgwieździło się wspaniale niebo. Cicho. Tylko świerszcze grają: cyk-trr, cyk-trr, cyk-trr...

Zmęczył mnie dzień upalny. A teraz dobrze. Wyciągam się, ręce rozrzucam i patrzę do góry: niezliczone mnóstwo błyszczących dziurek. Rżysko, jak okiem sięgnąć, srebrno-białe... I tylko kopce siana sterczą na nim w równych rzędach.

Ciepło. Świeżo. Pachnie. Cyk-trr, cyk-trr...

Siadłaś przy mnie. Jesteś w białej sukni z wyciętym kołnierzem. Wiedziałem, że tak będziesz schylaś głowę i wonnemi wilgotnemi wargami wysasz się w usta moje. Nie widzę gwiazd: zasłoniła mi je twoja twarz. Zamykam oczy i cały staję się pocałunkiem, czując już okrągłe, pieściwe piersi twoje na sobie i chwytając się, jak po pijanemu, twoich ramion i biodr, ramion i biodr...

I widzę znów spokojne, mrugające gwiazdy...

Oglądasz się, czy kto nie widział, poprawiając włosy lewą ręką. Prawą zaś gładzisz mnie delikatnie po policzku i czujesz lekką szorstkość golonej dziś rano brody.

Skwar

Było raz bardzo gorąco. Nieruchome, nagrzone powietrze. W najsroźszy upał leżałem w słońcu, lubując się okrucieństwem żaru. Pustka.

Przybiegła do mnie zdyszana. Widziałem, jak bije serce jej pod białą bluzką. Widziałem wspinałą szerokość biodr, spływających półokrągłą linią w kształtne, krzepkie nogi. Gorąco, gorąco, moja Ty młoda, zagorzała, kochana!

Co się stało? — Co robisz?! — Uspokój się... Słuchaj... przecież — — —! Och, upalne, straszliwe pieszczoty! Obłądne, skwarne oddanie! Stepy w oczach zamgławionych! Dyszące szybko piersi! Niesprawiedliwa wściekłość, co żąda nazbyt już wiele rozkoszy od naszych rozkochanych w sobie ciał w ten upał lipcowy!

Brzoskwinia

Słyszysz? Jest w tem słowie soczystość, jest cierpkawa słodycz rozgniecionej miazgi owocu: sok, spływający i spijany chciwie spragnionemi usty.

Mięciutka, okrągła, delikatnym puchem omszona, wabi mnie ta brzoskwinia, budzi pożądanie, chcę ją wargami pieścić, mieć w palcach lekko, pieścizotliwie gładzić i dmuchać w puszek aksamitny. Szkoda, że cała nie jest tak dziewiczo blado-różowa, jak w tem — patrz — miejscu... W brzoskwinie ciepłą, dłońmi mojami utuloną, tak miękką już, że sok lada chwila puści, wpijam się tem wszystkim, czem są usta... O, mięso kwietnel O, soku, któryś krążył w drzewie, pędzony tajemniczą Mocą Życia! Soku, którym nabrzmiął płód w ciepłe wiosny i słońca! Piję, piję, gniotę, wysysam!...

Czy całowałem usta twoje?

Całowałem...

Całowałem usta Twoje, całowałem je w ciemności, w czarnym aksamicie miłosnej nocy... Całowałem usta Twoje i wyczuwałem wargami czerwień ich...

W białych, gorących oplotach Twoich zamknąłem oczy. Zamknięte oczy widzą nieskończoność, ogromną, ogromną dal... Chwile stały się melodją, w rytm której tańczyła purpura i czerń, niby dwa szale jedwabne, wiewne, gasnące... tańczyły daleko, w nieskończoności oczu zamkniętych...

A potem była mroźna noc, jasno-niebieska cicha noc zimowa. Szedłem — lekko upojony, jakby odużony błękitnym aromatycznym likierem, zaprawionym brylantową kroplą mroźnej, mlecznej jaśni księżycowej, która kapnęła do smukłego kieliszka, opalizując i skrząc się fantastycznie...

I idąc tak naprzód w upojeniu, przymykałem oczy i znów widziałem daleki gasnący taniec... Byłem tak nieziemsko szczęśliwy, że uczułem, iż staję się czemś bezcielesnym i płynę, jak światło... Uczu-

cie to było tak rzeczywiste, że, poślizgnąwszy się, miałem wrażenie, że się potknąłem o cień gałęzi, zwieszającej się z za parkanu ogrodu...

A teraz usnę — z uśmiechem szczęścia na zmęczonych wargach... szepczących słodkie Twoje imię.
Dobranoc!

Zdrada

I czemu sobie w nim upodobałaś, ty dziwna, surowa dziewczyno? Zimny jest, blady, jak trup samobójcy... Wstydu mi nie rób. Już cię pastuchy palcami wytykają, a ksiądz chce Cię wykląć z ambony.

Skąd wiem? Myślisz, że nie widziałem, jak biegłaś wieczorem po mokrej łące nad źródło leśne, obrośnięte miętą i niezapominajkami? Wysłizgnęło się rusałczane ciało Twoje z cienkich batystów i wiotką nagością wtuliło się w mech, gniotąc borówki. O, jak trzepotały ręce Twoje w powietrzu! O, jak chwyciły go! Mówiłaś coś gorącym, szybkim szeptem oddania—lecz jakąś obcą mową, którą zrozumiałyby może muchomory lub znachorki:

„Árgile, árgile, tivio-tila, tia, tial“

Wgarnęłaś go w siebie łabędzim opłotem, ty Ledo wiejska z białego domku, obrośniętego dzikim winem.

...A powracałaś późną nocą, błędnie uśmiechnięta, naga...

Błyszczało ciało Twoje srebrzystą polewą księżycową. Stopniał w gorących uściskach Twój zimny i blady kochanek...

Wiem, że mnie zdradzasz z księżycem...

Ej, strzeż się, bo was przyłapię!

Lilja

Rozchyliłem stulone płatki lilji i pokazałem jej wstydlive wnętrze kwiatu.

— Niech pan przestanie.

Jeszcze nie wiedząc, lecz już przeczuwając widocznie, zaśmiałem się nagle i nagle urwałem...

— Bo?...

Podniecające i sekretne były jej oczy, zmrużone niezdecydowaną odpowiedzią...

Wtedy rozwarłem szeroko na cztery strony białe ciało lilji i wilgotnymi wargami upieściłem wnętrze...

A gdy podniosłem oczy — ona stała w pąsach, z rozfalowaną piersią i błyszczącymi źrenicami.

I uśmiechnąwszy się nikle (pewno z warg moich, ufarbowanych żółtym pyłkiem) — jakimś specyficznie wzruszonym i drżącym głosem powiedziała:

— Pan jest wy-ra-fi-no-wa-nie nieprzyzwoity!...

Atlas

Klękam. Rozwieram ramiona na Twoje przyjęcie; głowę wtył odrzucam, przymykam oczy i rozchylam usta... Słyszę szelest... już idziesz... dolatuje mnie upojny zapach ciała ciepłego... promienie oczu Twoich muskają mnie po twarzy... Przeczuję... wiem: to będzie pocałunek wieczny, pocałunek Sfinksa z obrazu Stucka. Na piersi swej poczuje Ciebie, Kobieto! A kiedy przyłgniesz do mnie — rozcednę, wypręzę pierś, aby się stała granitem i stała; toć będę Ziemię dźwigał — Ciebie, święta gledo Miłości!

Już utonęły wargi nasze w sobie... Wspierała się o mnie, Wieczna! — — —

— I rozdwoiła się na mnie Ziemia w krągłe, sprężyste, żywotne piersi Twoje...

Prowincja

Przyjdźcie dziś wieczór do karczmy, kochani moi druhowie, pogwarzymy sobie przy piwie. Lubię ciszę małego miasteczka, prostotę jego codziennych zdarzeń i przedziwną, ujmującą poezję prowincji. I dobrze mi tutaj. Stół w kącie przy oknie; podłoga, piaskiem wysypana; lampa naftowa, zawieszona na zakopconym drucie u pułapu; jasnowłosa Zosia lub Mania za szynkwasem: parę kiełbas, ser pod drucianym kloszem i inne specjały... Mili są sercu mojemu ci ludzie polscy, wchodzący do karczmy z pięknem „pochwalony“ na ustach... i te długie historie, opowiadane szorstkim głosem, przerywane śmiechem a sycone kolejkami piwa... Obok, w komorze, usypia swą pociechę jakaś pani Michalska lub Krajewska... Stukają miarowo bieguny kołyski, mały drze się od czasu do czasu, a wreszcie zasypia... Lu-laj, lu-laj, lu-laj...

Przyjdźcie, kochani druhowie moi...

Jesień zawiewa już chłodem, jesień niezdecydowana, z wielkim urokiem dla duszy mądrej i spokojnej... Jesień, jesień...

Ani nam w karczmie smutno, ani wesoło nie będzie... Bezcelowości spokojnej pragnę, smacznego snu, prostych myśli i ciepła...

Opowiem wam długą, piękną historję... Tylko się lepiej wtulę w miękkie zielone palto, w kąć głębiej się wcisnę (— trzy ciemne, panno Maniuł —), papierosa zapalę, o tak, zaciągnę się i zacznę opowiadać. Słuchajcie:

— „Ma jasne, smutne oczy i jest daleko“...

VII

Kobieta

1

Mocarz, rojący twórczo gwiazdne zawieruchy,
Genjusz, huragan ducha, potworna potęga,
Zbiera najbliższych wspomnień drobniutkie okruchy
I żalem, cierpkim wstydem, w dni minione sięga.

Słów Bożych orędownik, apostoł, co w pieniach
Sławi Zjawienie Pańskie wśród zbożnej pasterki,
Szpera, jak rzezimieszek, po cudzych kieszeniach
I kradnie w tłumie grosze: dla niej — na cukierki.

Rudy zbir, bestja chutna, arcyłotr ludzkości,
Którym ze wstrętem gardzą z najpodlejszych podli,
Płacze cicho i słodko w niemej samotności
I o jej uśmiech nikły gorąco się modli...

Czasem zastygnie drętwo w przykrem osłupieniu,
Bezmyślnie zamyślona i znieruchomiała,
Straszna w tępej apatii, w dzikim zapatrzeniu,
Jakgdyby nagle w kącie martwą mysz ujrzała.

Dwoi się jej męcząco w źrenicach zeszkłałych
Smutna nieokreśloność i chaos ogromny:
Obłąd pól monottonnych, pustyni osowiałych,
Zmiętych, obwisłych myśli natłok nieprzytomny.

A gdy ją zbudzić raptem — pijana chaosem
Drgnie, jakgdyby *wróciła*... Ale skrywa więcej:
Bo, kiedy się odezwie ochrypniętym głosem,
Ujrzysz, że to ta sama — z przed lat stu tysięcy.

A gdy się świętą staje za wolą Wyznawcy,
Co i z kłody potrafi wyciosać swe bóstwo,
Kiedy cuda objawień moc rozkazodawcy
Odda za pył jej śladów i duszy ubóstwo, —

Ona — walczyć zaczyna z olbrzymim Rozkazem,
Czując, jak rośnie kościół wokół niej na ziemi,
I pada, przytłoczona boskością, jak głazem,
I złorzeczy Wyznawcy słowa straszliwemil...

A on, wsłuchany w wieczność, wiarą oślepiiony,
Nie wie, że brzemię Boga w proch ją obróciło,
I modli się, w wizyjne bóstwo zapatrzony,
Nie widząc, że już stoi — tylko nad mogiłą.

Tęsknota

Uparła się moja tęsknota,
Upał się dziki mój żal,
Że muszę ciebie zobaczyć.

A była słota jesienna,
Słota...
(Litość miej! Wyjdź!)

Pod oknami twojemi chodziłem,
(Rozpaczy kamiennal)
I z żalu wyłem, jak pies!
Bo uparła się moja tęsknota,
Bo upał się dziki mój żal,
Że muszę ciebie zobaczyć...

Trzeba było się chyba zsobaczyć:
Upokorzyć się prośbą haniebną,
Iść tam do ciebie — prosić!
Co? Na klęczkach cię błagać,
Wstyd najstraszniejszy znosić!
Tego chcesz?

— Byś mnie pogardą zaczęła smagać,
Dziewko!

Bym ryczał, skamlał, jak zwierz:

„Litość miej!”

A tobie, psiakrew, nieochota!

A tobie w rozpaczę mej

Przeszkadze słowa:

Mokro... mgła... chlupot błota!...

...A uparła się moja tęsknota,

A uparła się moja tęsknota!...

Na noże

Dzika gra! Straszna gra!
Oczy płonął Serce gorzeł
Który? Dwuch nas być nie może!
Albo ty — albo ja.
Raz-dwa, raz-dwa!
Na noże!

Krwil krwil Tak jak zwierz,
Zarem tchnę, wzrokiem palę!
Bez litości! W męce, w szale
Wyje żądza, wyje chuć!
Celnie gódzi!
Dobrze dźgniesz —
— Sam pochwałę!
Stań wprost — nie jak tchórz,
Lub ci sam pod żebro nóż
Wwałę!

Dzika gra, straszna gra:
Albo ty — albo ja!
Miękkie ciało — twarda stal,

Tu się zaczej, tam się skryj,
Po rękojęć w serce wbij,
Po rękojęć w serce wwal,
W miękkie ciało twardą stal,
Dźgnij!

A ja też, a ja też,
Chytrze, skrycie, niby zwierz,
Póki krwią się nie obrocę,
Naprzód skoczę!
Jedna chwila, jeden ruch:
Raz-dwał Prosto w brzuch!
Wbiję nagle, szybko wtłoczę
I rozpruję i zawiercę,
I bić będzie jedno serce,
Jedno z dwóch!

Dumna sprawa, ciężka sprawa,
Chuć czerwona, krwawa sława!
Harda gra! piękna gra!
Albo ty—albo ja!
Płonę! Dwuch nas być nie może
Raz-dwał Raz-dwał
Na noże!

Lecz nim błysną z nożów skry,
Poprzysięgniem, ja i ty,
Że będziemy strzec najświęciej,
My uparci, my zawzięci,
By strumienie naszej krwi,
Boże broń, nie pobluzgały
Jej — lilijnej, cichej, białej,
Kiedy w strasznej naszej walce
Rękojeście ścisną palce,
Kiedy wielki gniew rozgorze,
Gdy będziemy życiu mścić,
Gdy się zacniem strasznie bić
Na nożel

Przekłęty śpiew

Oto jest przekłęty śpiew mój, przyjaciele!

Oto jest nerwowe, pośpieszne, niecierpliwe pisanie,
Ze łzami w oczach, skurczem w gardle i wykrzywioną twarzą,

(Spójrzeć do lustra — a będzie śmiesznie przez tę brzydotę dzikiego smutku...)

Oto jest głośny krzyk nieszczęścia i zawodzenie
żalu i chwytanie się za czoło i bicie pięścią
w stół, że aż bolil

(Wiedźcie, że tak się właśnie pisze).

Krzyk i krew! Krzyk i krew!

Pierwszy raz: krzyk tęsknoty i krew, którą naiwny
chłopiec napisał kilka słów przysięgi.

Drugi raz: krzyk i krew w noc czerwcową — — —

Trzeci raz: ten krzyk dzisiejszy i krew, co może
jutro już tryśnie na tapetę.

(Uchl Ryk, kałuża krwi, łapanie, trzaskanie drzwiami,
krzyki na schodach, zapach jodoformu...)

Przekłęty śpiew, który rośnie i rozsada zrozpaczone
serce i wrywa się purpurą gniewul

- Przeklęty śpiew o zrywaniu się w nocy i nadślu-
chiwaniu!
- Przeklęty śpiew o martwym dziecku, wyciąganem
z łona jasnej, świętej kochanki!
- Przeklęty śpiew o pijanej, bezgranicznej, mętnej
białości, którą się widzi, zamykając oczy. Biały
ocean melancholji.
- Rodzą się, umierają, boją się, cieszą, — ruch, wrzawa,
pęd świata, — a tu siedzi jeden i krzyczy!
- Miał, stracił, chorował, błagał, groził, aż mu źrenice
zaczęły błyszczeć niesamowitym blaskiem śmierci.
I czeka.
- Przeklęty śpiew i warjackie patrzenie w jeden punkt,
gdzie widzi się trawę wiosenną, złoty piasek,
brunatny dół, smutnych ludzi i kobietę, mdlejącą
nad grobem z krzykiem: „Jak wy możecie?!”
- (Mogą, mogą! Oni wszystko mogą!)
- ...Jasna, młoda kobieta...
- Teraz się chodzi po błocie, po śłocie, w deszcz,
z podniesionym kołnierzem...
- Teraz siedzi się w domu, przy książce, przy pisa-
niu, w cukierni, wśród ludzi...
- Teraz rozmawia się z różnemi ludźmi o różnych
sprawach...
- Teraz zasypia się z chaosem pogmatwanych myśli...

A zawsze, wszędzie, bezustannie, dzwoni w uszach wrzawa, wrzawa, wrzawa, zgiełk, symfonia tylu dni minionych... Jęczy, upomina się o coś, krzyczy daleka wrzawa modlitw, tęsknoty, szeptów, wyznań, radości, błagań — — huczy, wikła się, spokoju nie daje...

Kto potrafi rwać powrozy, niech mnie naucz.

Ciągnę je, naprężam, ale wcierają się jeszcze bardziej w ciało i nie pękają. Trzeba je ostrym nożem przeciąć. (To przenośnia, lecz nóż jest prawdziwy).

Przeklęty śpiew! Nagromadzone są wielkie zapasy Ducha, nagromadzone są najcudowniejsze możliwości, a zaczną gnić. Tułać się zaczniesz, chodząca kloako!

Albo stężeją, skamienieją, zmartwieją żywe paki i nasiona. Będzie gład, w granit zastygły ogród.

Przeklęty śpiew o wywróceniu oczu w słup i głupkowskim uśmiechu upadłego.

Przeklęty śpiew o świątyni, gdzie przybito tabliczkę: „Tutaj niewolno się modlić“.

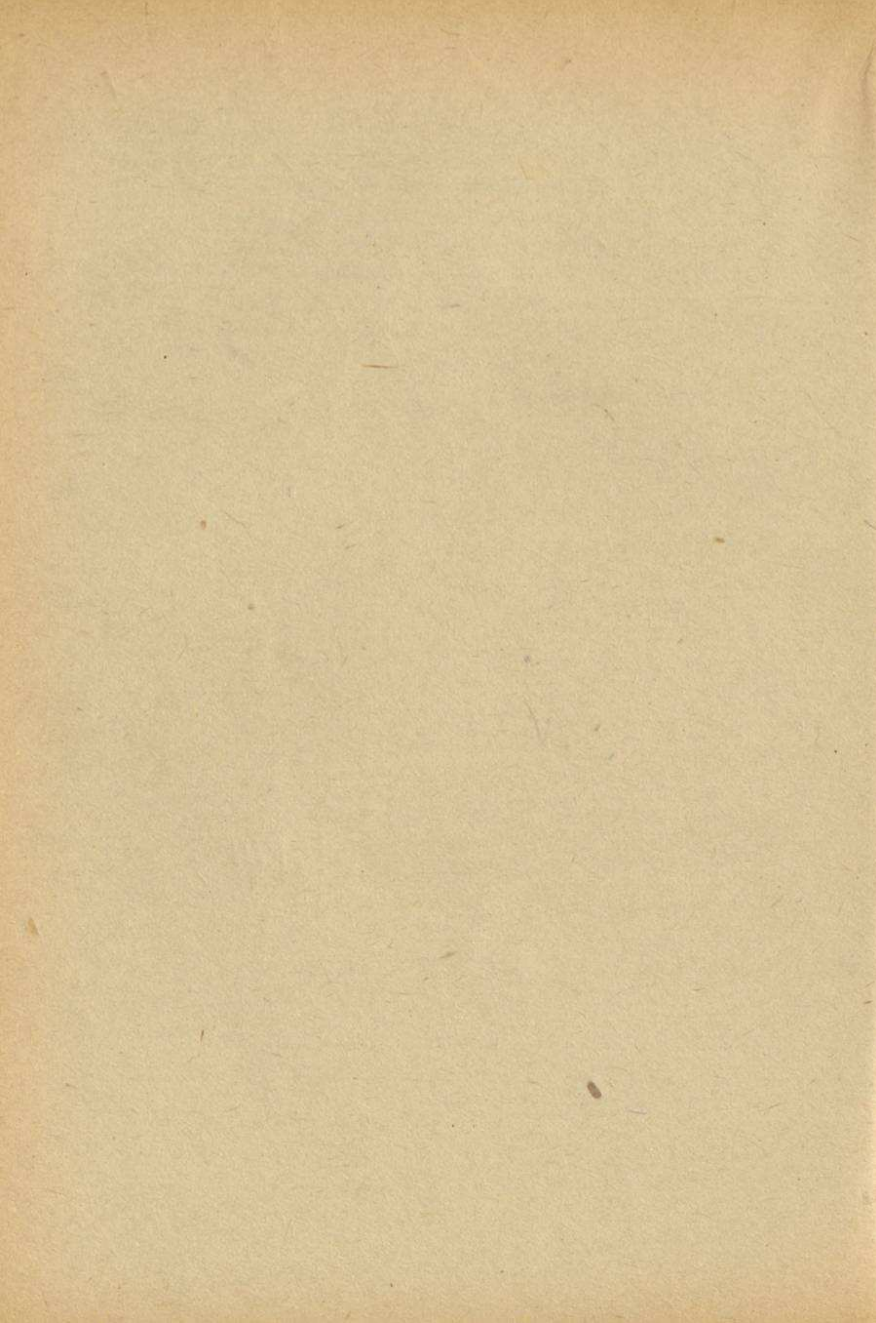
Uparta myśl, manjackie powtarzanie imienia i mętno-białe ocean melancholji.

Przeklęty śpiew! Wstyd nazwania rzeczy po imieniu i ukrywanie świętych szczegółów!

Ach, ta megalomanja myśli: „Jakoż mnie nie będzie?”
Rozbrat człowieka współczesnego z tradycją boha-
terstwa duszy! (Szczerość, tragiczna szczerość!)
— I już rozmach — i już patos — i już alkohol
poezji, gotowy upoić mnie, aż wtem znów ude-
rzenie obuchem w głowę i krzyk, krzyk, szamo-
tanie się z tą jedną myślą:

„Przeklęty, przeklęty śpiew!”

VIII



Swietozar

Jeśli morze przypomni — to je każę smagać,
Tłuc, batożyć za karę stalowymi pręty!
Zbałwani się, zawyje, by litość ubłagać,
Zatopi mi, pomstując, ładowne okręty.

Jeśli słońce przypomni — wydrę sobie ślepią,
Olsnę, włodarz szalony, na jasność promienił
Niech się w ślepotcie czarnej tęsknica rozstepia,
Dzika, jak melancholja słowiańskiej jesieni!

A jeśli noc przypomni, noc omdlewająca,
Ciepła i jaśminowa, miłością opiała,
Gdy mnie słodko w ciemności, drżąca i gorąca,
Cielistym ud i ramion uściskiem wzięła, —

— Rozżagwię noc pożarem, włościę swe zapalę!
Pójdę z słońcem w zawody! Dzień urządę złoty!
I w trzaskawicy ognia zasyczy wspaniale
Dumna stolica moja, Złotogród Stuwroty!

I na zgliszczach ostanę, oczu tępe szkliwo
Utkwiwszy w ziemię macierz... A niewiada pocol...

Na sercu mi markotno, w oczach migotliwo
Od łoż... I tak dzień za dniem... i tak noc za nocą...

...Idą skwarnemi piachy garbiaste wielbłądy,
Idą bezcenne, białe elefanty sjamskie,
Pstre łupy i daniny niosą mi przez łądy,
Tkaniny i wonności i skarby sezamskie.

Ciągną z nałożnicami karawany żmudne,
Tysiąc dziewczek nubijskich śle nigrycki książę,
Sromne to a chutliwe, dzikie to a cudne,
Snać wie ów czarnogęby, że za dziewczką tążę!

A za niemi bez końca tabuny, obozy,
Tuczne stada, pojmańce chańskie i sułtańskie,
A rzą krewkie rumaki, skrzypią ciężkie wozy,
Idą z za siódmych granic w me ziemie słowiańskie...

Dźwigają miechy z winem, kryształowe słoje,
Kadzidła i balsamy, myrrhy, aloesy,
Skrzynie usieręg, pióra puszyste i zbroje,
Ciężkie misy ze złota i pękate kiesy.

Dźwigają klejnotami nasadzone szaty,
Kropiaste skóry, szuby, uprząże, sajdaki,
Korale purpurowe, niewidziane kwiaty
I skrzeczące zamorskie dziwolągi-ptaki...

Ślą mi pokłony korne wszyscy językowie,
Nie waży się wróg żaden dojsć pod grodu szańce,
Odkąd na miazgę stłukłem skośnookie mrowie
I w krwi się ukąpali Połowce-pohańce!

Hań, pomnę, jakom ścisnął bachmata kolany,
Jak mnie porwał, jak pomknął ostrogami spięty!
A za mną świst, hukanie, furkot chorągwiany
I kopyt stutysięcznej konnicy tętenty!

I gnali my jak wichry, choć zmydlonym koniom
Krew się ciurkiem sączyła z pod ostróg na trawy,
A gdzie skoczę — podkowy zwycięstwo mi dzwonią,
I dudni step szeroki od wodzowej sławy!

Gnali my basurmanów, rumak za rumakiem,
Świtem nas Don oglądał, a w przedwieczarz Wołga,
Bieżał Konczak, wilk szary, a Gzak za Konczakiem,
I już chan połowiecki u stóp mi się czołgał

A kiedyśwa wracali przez skrwawione pole,
I wraże łby na dzidach zatknięte sterczały,
Krzyczała mi drużyna, junaki sokole:
„Żywie Buj-tur Swietozar, wojewoda wdały!”

Obłowiłem się wtedy nie gorszą zdobyczą,
Niż rodzic mój, gdy zgromił nad Bałtem wikingi

Po dziś-dzień liczą ciury (liczą, nie przeliczą!)
Chańskie łuki, kolczugi i klejnotne klingi.

Skarby moje niezmiernel Błyszczące kamieniel
Smaragdy, chryzolity, jaspisy, djamenty!
Perły, gdzie drzemią tajne błękitne płomienie,
Muszle, gdzie szumią jeszcze sinych fal lamenty!

Jakże-m ja was ślicznemi nazywał słowami,
Gdyście ogniami lśniły, świetliki czerwcowel
Jakże-m ja was miłował! Jakże-m igrał wami,
Rzucając szczodre garście w wody księżycowel

I zdało mi się wtedy, że się na dnie kłębi
Przegibna błyskotliwość złotołuskich węzyc,
Że z głębi wodnej w niebo, z nieba do wód głębi
Tka siatkę pajak nocy: szafawiła-księżyczl...

...Jasna, słodka i ciepła, jak majowe rano,
Szła do mnie w takie noce na kwietne pościele.
Szeptala, tuląc z lękiem główkę ukochaną:
„Włodzicze najmilejszy, mój Lele-Halele!“

A potem nagle... z śmiechem, wwiwała się we mnie,
I jak fala o brzegi biła w moje ciało,
Włosy jej bursztynowe pachniały tajemnie
I od onej wonności serce łomotało!

I od onej wonności mgławiły się oczy,
Wargi wilgotne ssały słodycz nienasytnie,
Od jędrnych mlecznych piersi rozsądek się mroczy,
A w biodrach, jak jabłonka, z dnia na dzień mi
[kwitnie]

I wiłem się w jej splotach, jako w sieci ryby,
Niecierpliw w gorączce, ramionami skutyl
A one łaskotala a one wygibyl
A one tajne chwyty, skręty i podrzutyl

...A potem, dysząc ciężko, najśłodziej znużony,
Leżałem, patrząc w gwiazdy, w srebrnice-mruganki;
Zawodziły w jeziorach tęskne Dziwożony,
A w borach — Panny Leśne, nocne miłowanki.

I roiłem najszczęśniej, że mi moja łada
W płodnym łonie już dźwiga godnego dziedzica;
Że pójdzie w syna cnota bitewna i włada,
Jako i we mnie poszła z wielkiego rodzica!

Byłbyś ty, Swietozarzyc, włodarz nad włodarzel
Wojewoda piorunów! kneź na Złotogrodziel
Wicher Huraganowicz! Witeź w krasnej tjarze!
Hospodyn purpurowy na słonecznym wschodziel

Ale cię skradła macierz i w łonie uniosła,
Synu, synu, spodziewo i dumo ojcowal
Wydadzą cię na świat pokalane trzoła,
Cudzołożna cię, synu mój święty, wychował

Albo i rzuci cię, jak pomiot sobaczy,
I będziesz rósł bezsławnie, najjaśniejsze czędoł
I przeklniesz nieznanego rodzica w rozpaczy,
Gdy cię za srom matczyny lżyć ze śmiechem będą!

...Pomnę, gdym niestrzyżonym jeszcze był chłopię-
[ciem,

Przynieśli wieść tajemną wysłańce od Chazar,
Że ze wschodu na pokłon przed jakimś dziecię-
[ciem

Szli trzej włastowie: Melchjor, Kacper i Baltazar.

Rodziec zasię, czestując chmielnem piwem gości,
Śmiał się, czkawiąc i trzęsąc kudłami rudemi:
„Wierę, szydził pijany, nastały cudności:
Wždy z bydłem w chlewie leży kneź z żydowskiej
[ziemi!“

Tybyś legł, Swietozarzyc, w łabędziej kolebie,
A ssałbyś, synu chrobry, piersi gołębiane!
Wytulił ci je ojciec! wcałował w nie — siebie!
Wyhołubił, wypieścił, dzieciątko kochane!

Jak bije serce ziemi, sokiem napęczniałe,
Tak od pocałunków moich jara krew w niej biła,
A we mnie moc szumiała, jak zboże dostałe,
Moc święta miłowania, moc dziewięciosiła!

Dymem żertw błękitniały leśne uroczyścza,
Brzmiały śpiewem dziękczynnym poświęcone gaje,
I sprzyjały mej sławie surowe bożyszczta,
Za miody, za tłustości, pszenne korowajel!

Dziś gniewne bogi w dęby miotają pioruny,
Dziś Lęk w sitowiu zżółkłem zaczął się skrycie...
Próżno leki raicie mi, starce-widuny!
Próżno wy, baby, zioła tajne mi warzyciel!

Wy mi wróćcie te oczy, smętnym stepem tchnące,
Głos gędziebny mi wróćcie i różane dłonie!
Słyszcie: sławę wam oddam i skarbów tysiące
I głowę uwieńczoną, jako rab, przekłonię!

O, nie zdzierzę ja bez niej ciebie, hardy mieczu,
I na dziadowe włościę puszcę hordy wrażeń!
Łup, Chazarze, Złotogród! Siądź, Pieczyngu, w Gie-
[czu,
A ty, psie połowiecki, w starym Krasnojarze!

Hej, rumaka dosiędę, grzywy się uczepię
I naoslep, naoklep stepowi pojedę!
Niechaj mnie wichry-czarty poniosą po stepie,
Niechaj huczą, niech wyją na kneziową biadę!

A ty, drużyno wierna, gdy mnie znajdziesz w polu,
Powracając, jak ongi, z zwycięskiej wyprawy,
Stypę spraw, miody pijąc a płacząc mnie w bólu,
I na pękniętem sercu usyp kurhan sławy!...

Poezja

(Spojrzenie w przyszłość)

I

Powstał w mej duszy wprost szaleńczy plan,
Plan, który można przyrównać herezji:
Niechaj się dzisiaj dowie wszelki stan,
Co ja właściwie sędzę... o poezji.

Jakie w tej sprawie „przekonania” mam,
Jak brzmią zasady tej mojej „teorii”,
Niech słuca mędrzec i niech słuca cham
Teoretycznej mej fantasmagorji!

Będą te słowa jak taneczny krok!
Będą — jak złota do Stolicy droga!
— POEZJA — JEST TO, proszę panów, SKOK,
SKOK BARBARZYŃCY, KTÓRY POCZUŁ BOGA!

Jest to pierwotny, czippewajski krzyk
I chutna miłość do rodzącej ziemi,
Zadowolony barbarzyńcy ryk,
Gdy ujrzał Ogień oczy zdumionemi.

Wtedy — podskoczył! To — poezji Bóg!
Skoczył — i krzyknął słowo obłąkańcze!

Poświęcił Bogu chaty swojej próg,
Poświęcił tańcem. Więc i ja też tańczę.

2

„Co? (pyta jakiś ironiczny pan)
Dla nas wszak ogień to już nie nowego!
Że dzikus tańczy lub dzikusów klan,
To i my tańczyć musimy? Dlaczego?!“

— Pardon, mój panie... Dla nas? Cóż to jest?
Pan będzie łaskaw wyrażać się ściślej!
„Dla nas!“ I przytem — ręką taki gest!
Przepraszam, kogo pan dobrodziej myśli?

Co do mnie (— może pan wierzyć lub nie —)
Cieszę się z ognia *tak samo*, jak dzikus!
Ogień! Gałęzie płonął Tlą się pnie!
To Bóg Najwyższy, Deus Magnificus!

Tak jest ze wszystkim! Rzecz! Cieleśna rzecz!
Dotknąć, zobaczyć, usłyszeć, wprost chciwie,
Kamienie w ręce brać i rzucać precz,
Powietrza w płuca zaczerpnąć łąpczywie!

To jest wszak bycie! To jest przecież Bóg!
A Boga słać trzeba — więc się płąsa,
Skacze się, śpiewa, szuka nowych dróg,
To... to... — Eh, widzę, że pan znów się dąsa!

3

Nie stracił czaru romantyczny smęt
Róż i słowików, rusałek i goplan.
Lecz coraz szybciej warczy życia pęd:
Tam, gdzie jest księżyc, jest i aeroplan!

Nie stracił mocy Achilles i Piast,
I chwalon będzie każdy, kto bohater!
Lecz już z czeluści elektrycznych miast
Tłum wielki bucha, jak lawa przez krater!

A kto jest wyższy — może wyższym być,
Niechaj na skroń mu liść laurowy kładą,
Lecz i Przechodniom ma być wolno żyć!
Starzec olbrzymi rzekł im: Camerado!

A kto marzenie ukochał i sen,
Niechaj je w śpiewną splata słów perlistość!
Lecz oto z szczytów i przepastnych den
Dźwiga się Potwór: Wielka Rzeczywistość!

Byłaś, Poezjo, teatralną grą,
Miałaś swe stałe, stare rekwizyty,
Lecz oto moce niesłychane prą,
I Śpiew Powszechny bije pod błękity!

Gromada śpiewa, współczesności chór,
Tłum ekstatyczny, który w bezmiar urósł!
Hej, ŻYCIU DROGĘ! Stanął groźny Zbór,
A na spotkanie Zborowi — Futurus.

4

Będę ja pierwszym w Polsce futurystą,
A to nie znaczy, bym się stał głuptasem,
Co sport z poezji czyni, i z hałasem
Udaję maga, a jest tylko glistą;
I to nie znaczy, bym na przeszłość plunął,
Bym zerwał w wierszu nawet... z przeszłym czasem,
Lecz iżbym stał się Idącego łuną,
Bym głosił nową Wiedzę Oczywistą
I iżbym na was jak słup ognia runął!

Chcę swoje tańce, żale i zachwyty,
Smutki, spojrzenia, szaleństwa i burze,
Tęcze, koszmary, jesienie, podróże,
Noce, księżyce, wichry i błękity,

Požary, gniewy, przemknienia i cienie,
Rozpusty, słońca, zwycięstwa i róże,
Przepaści, zbrodnie, niziny, przestrzenie, —
Wszystko na MOJE wyprowadzić szczyty,
Wszystkiemu chcę dać RÓWNOUPRAWNIENIE!

„Wpływy“? Ja wpływów nie wstydzę się wcale!
To duma moja, że Bożych olbrzymów
Uczniem się stałem! Że wśród moich rymów
Znajduję echa, co dźwięczą wspaniale!
Że dusza moja znalazła Patronów
Śród lat minionych, wśród ofiarnych dymów
Wielkich Kapłanów — nic pośród histrjonów,
Mimów i mydłków, zdobnych w póz blachmale,
Nie wśród wymoczków, nędznych epigonów!

Idziesz, Poezjo Nowa! Jak przed burzą,
Duszno nam... Czuję, że się chwila zbliża,
Kłębem czerwonym wiruje, lot zniża,
Czyhamy na nią, i dni nam się dłużą,
Bo wiemy: nocą zbudzimy się z krzykiem,
Z stygmatem w duszy świetlistego krzyża,
Każdy się stanie snów orędownikiem,
W nowym Chrystusie dusze się zanurzą
I będą pełgać boskości płomykiem.

Idziesz, Poezjo! Wkrótce się zespoli
Myśl i żelazo, westchnienie i Miasto!
Nowego Boga urodzisz, Niewiasto!
Wstanie ogromny w ŻYCIA AUREOLI
I będzie Ludy nauczał żywota
I będzie Nowych Zdarzeń protoplastą,
A pójdzie za nim uboga gołota
Z twierdz, z miast, z podziemi, z fabryk, z ulic,
[z roli,
I *wszystkich* Jutrznia rozśłoneczni złota!

Bo to są LUDZIE!!! Bo to są narody,
Przed Bogiem równe i Bogu nie krzywi!
Bo to są Dusze! To są Ludzie Żywi,
Których czekają jasne życia grody
I dusz pradawnych edeńskie stolice,
W których się człowiek odrodzi, ożywi,
Poczuje Boga, ujrzy Jego lice,
I wstąpi w siebie — nowy, świeży, młody,
I znikną wszelkie życia tajemnice!

Niewiasto każda! Bądź nową Maryją!
Mężczyzno każdy! Bądź Józefem nowym!
Ciała połączcie uściskiem ogniwym!
Pocznij, Niewiasto! W łonie twem się kryją

Takie cudowne, wielkie możliwości,
Że świat się wstrząśnie hymnem miljonowym
Wielkiej Radości, Niebiańskiej Miłości,
Że dusze nasze *przez siebie* odżyją,
I będziem siebie gościć, jako gości.

Och, nie! Nie śmieście się, żem jest „prorokiem“!
To nie prorocत्व! To wola! To pewność!
Poezja moja — to nie tylko śpiewność,
Zrodzona szczęściem lub żalem głębokim...
To Rewolucja Duszl! To śmiałe Rzuty!
(...Ale i rzewność, niezgłębiona rzewność...)
To są przeczucia człowieka, co, skuty
Słowem i myślą i życia wyrokiem,
W czynie nie może wykazać swej buty!

5

Dosłownie, dobitnie, wyraźnie
Dla powszechnego zrozumienia,
Bo o czym-ż mówię?
O jednej wszechobecnej Sprawie,
O prawdzie widomej, o bezspornej oczywistości:
Sławię Bogo-Ducha przez potysiączne Rzeczy
[i Wcielenia,

Przez fale wieków i światów ogromy,
Sławię dzieje, pochwalam istnienie,
Tłomaczę śmierć.
Raduje mnie boskie moje człowieczeństwo,
Raduje rozkosz groźnych możliwości,
Oddycham, oddycham,
Pełną piersią, płucami jak miechy...

Olbrzymie uczucie rośnie.

6

Olbrzymie uczucie rośnie i dech zapiera,
W oczach mam stopy, w uszach wichury,
[a w sercu dzwony —
Ogarniam, obejmuję, widzę,
Wzruszenie do gardła się wznosi,
Krzyknę — bo mi tak radośnie, radośnie, radośnie,
Otwórzcie się, najdalsze widnokęgi, głębie
[i wysokości
Wiatry szerokie — wiejcie, wiejcie!
Jest mi ogromnie i powszechnie,
Zamykam oczy i śmieję się i śpiewam
Bethoveniczne urojone psalmy,
Wyprężam ramię — prowadzę —
Chodźcie!

Nie chcę wam być przodownikiem,
Chętnie w tłum się wcisnę,
Będę ultimus inter pares,
Chodźcie, chodźcie,
O, rozmaici, oddzielni, wszyscy współcześni,
Muzyka gra marszał
O, żywe, porywające, radosne akordy!
Co się dzieje! Co się dzieje!
Nauczyłem się cudownej pieśni,
Tryumfuję, szaleję z radości,
Upiłem się światem Bożym,
Pokochałem ostateczną miłośćią,
Za pan-brat jestem z nieskończonością
Chodźcie, chodźcie!
Liberté, Fraternité! Egalité!
Pochód idzie, manifestacja
Braci Czerwonej Krwi!
Otwórzcie bramy, okna i drzwi!
I serca otwórzcie!
Allons enfants! Allons enfants!
Hurra! To moja marsyljanka życia
Hurra! To moja wesoła poezja!
To me pijaństwo świeckie,
Me święto wszechświatowe!
Kajdany rwę!

Allons enfants! Allons enfants!
„Le jour de la vie est arrivé!“

7

Słyszeliście już taką pieśń: przybyła z za oceanu,
wspaniałym potokiem płynęła z ust barda siwo-
brodego.

Ja zaś, ku chwale imienia ojczyzny swojej, prze-
szczepiam obce pędy na Drzewo Rodzime, na
krzepki Dąb Polski.

Niech wrosną głęboko w trzon jego aż do korzeni,
niech się rozłożą koroną konarów szeroko nad
moją ojczyznę.

Niech rozrastają się dalej świeże gałązki, niech za-
zielenią się liście na Dębie prastarym.

Donośny głos antyfilozofa ku utrwaleniu nowej poezji.

8

Niech we mnie Bóg rozgorze, jak słoneczny żar,
lżby mi duszę światłość żywotna poła.
Twórczość moja precz rzuci nakaz dawnych wiar,
Ale się skłoni wszędzie, kędy jest mogiła.
Twórczość moja ogarnie Wszechbędący Byt,
Poprzez wieków kurzawę — wieki będzie gonić,
Będzie stolicom ducha zapowiadać świt
I na Twoje witanie, o lądacy, dzwonić!



SPIS RZECZY

I

	Str.
Teofanja	9
Dusza	10
Ogień	12
Patos dali	13
Modlitwa	14
Miłość	15
Duma	17
Mędrkom	18
Przetrwam	19
Sztuka	20
Szczęście	21
Malarz	22
Przymierze	23
Pieśń o radości i rytmie	24
Spadek	25

II

Wiosna	29
Czereśnie	30
Ja	31
A jak sobie wieczorem	32
Pan	33

	Str.
Mądrość	34
Dziedzilja	35
Protoplasta	37
* * *	38
Helios	39
Wesoła pieśń o domu	40
Syna poetowego narodziny	42
Symfonia o sobie I	45
Symfonia o sobte II	48

III

Przyjście	53
Chrystus	54
Nowlna	55
* * *	57
Solenizanci	59
Chrystus miasta	60
Staruszkowie	63
Chrystusie...	64
Melancholja stojących przy ścianie	65
Śmierć	66
Dziewczynom	67
Ogrody szpitalne	68
Ona	69
* * *	70
Płuca I	73
Płuca II	74
Zemsta	77
U sąsiada	78

	Str.
Dzień	79
Pogrzeb	81

IV

Żydzi	85
Symfonia wieków	87
Sztab	89
„Extrablatt“	93
„Mort homme“	94
Atak	95
Krwawy chleb	96

V

Liryka	101
Jak wiersz powstaje	102
Imię	103
Podmuch wiosny	104
Wieczór	105
Ojczyzna	106
Ty	107
Wiośnianka	108
Z podróży	109
List	111
Jesień	112

VI

Wieczorem	117
Skwar	118
Brzoskwinia	119

	Str.
Całowałem...	. 120
Zdrada 122
Lilja 124
Atlas 125
Prowincja 126

VII

Kobieta 131
Tęsknota 134
Na noże 136
Przeklęty śpiew 139

VIII

Swietozar 145
---------------------	-------

IX

Poezja 155
------------------	-------